

nadodrże

ZIELONA GÓRA 13 IX — 26 IX 1989 R.
ROK XXXIII NR 19 [702] CENA 70 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NIEWOLNICY MIŁOŚCI

Pogotowie tylko opiekuńcze

Z piłką na podbój AMERYKI

CZAS GEHENNY_{1/2}

Program TV na dwa tygodnie

A JEDNAK TOAST!

Rozmowa z mgr Edmundem Blachowiakiem
prezydentem Zielonej Góry

— W Zielonej Górze, podobnie jak w całym kraju, nie żyje się łatwo. Mimo to, a może właśnie dlatego, nie zrezygnowaliśmy z organizacji w tym roku Dni Zielonej Góry i „Winobrania”. Tradycję, za którą wielu się opowiada, staje się zadose. Sądzi jednak można, że program ich, a więc i koszty, zostaną przykrojone do aktualnych możliwości?

— Właśnie tak. Tworzyliśmy tę tradycję w nawiązaniu do historii Zielonej Góry przez wiele lat, wiedząc, że jest ona miastu potrzebna. Gdybyśmy z niej zrezygnowali, czegoś by w nim zabrakło. Natomiast staramy się poszerzyć krąg organizatorów „Dni”, uzyskując dla nich szersze, społeczne zaplecze, także jeśli idzie o źródła ich finansowania. Część kosztów jednak musi być pokryta z budżetu miasta. Nie idzie tu jednak o sumy nadmierne, które w tym roku wyglądałyby nieco inaczej, nie chciałbym się wypowiadać, niech to osądzą jego uczestnicy i widzowie. Pragnąłbym jednak, aby ich organizatorzy nie zawiedli.

— Te intencje można odnosić przez cały rok do organizatorów różnych dziedzin życia w mieście. Szczególnie teraz zostanie ono poddane poważnej próbie. Jak co roku odwiedzi je wielu gości, których trzeba będzie przynajmniej nakarmić. Tymczasem w dziedzinie niezbędnej, nie tylko przy tej okazji, infrastruktury miejskiej — wszak Zieloną Górę traktujemy jako ośrodek podregionalny, tranzytowy — nie nastąpiły jeszcze konieczne zmiany. Problem, z jakim miasto się boryka, widać gołym okiem.

— Część z nich nie jest udziałem tylko Zielonej Góry, jak chociażby w handlu, komunikacji, budownictwie, ochronie środowiska. Znamy z tych problemów nie lekceważymy. Mamy określony program ich rozwiązywania. Wszystkiego

jednak od razu załatwić nie można. Są sprawy, które narastały latami, wynikały one z rozwoju miasta, jak chociażby zaopatrzenie w wodę. Problem w zasadzie został rozwiązany. I mimo poważnych kłopotów finansowych, wspierając się kredytami i innymi źródłami dochodów, inwestycje te są kontynuowane. Na podobnej zasadzie przeprowadzamy rekonstrukcję wiaduktu, której wstępny kosztorys opiewał na 80 milionów złotych. Ile zaś będzie wynosić ostatecznie ze względu na niepokonaną dotąd inflację, trudno dzisiaj powiedzieć. Nie zaniedbujemy — rada narodowa tego pilnuje — zbrojenia terenów pod przyszłe budownictwo mieszkaniowe, które zamierzamy intensyfikować, stosując między innymi nowe technologie, głównie w budownictwie jednorodinnym, w tym i komunalnym. Ponieważ jednak, wbrew obiegowym opiniom, na budowę własne go domu decydują się w większości ludzie o skromnych zasobach materialnych, chcemy tworzyć warunki ułatwiające im to, chociażby w dziedzinie zdołania niezbędnych materiałów budowlanych. Staramy się pomagać tym, którzy te domy już wybudowali i teraz chcą do nich doprowadzić na przykład gaz i wodę, choć nie zawsze tylko od nas to zależy. Ostatnio np. wstrzymano zawieranie umów o dostawę gazu dla indywidualnych odbiorców. Przysparza nam to wiele kłopotów, bo w ramach zamierzonej modernizacji zielonogórskiej starów ki chcieliśmy i tam wprowadzić ogrzewanie gazowe, co miałoby znaczenie także ze względu na ochronę zabytkowej architektury tej części miasta.

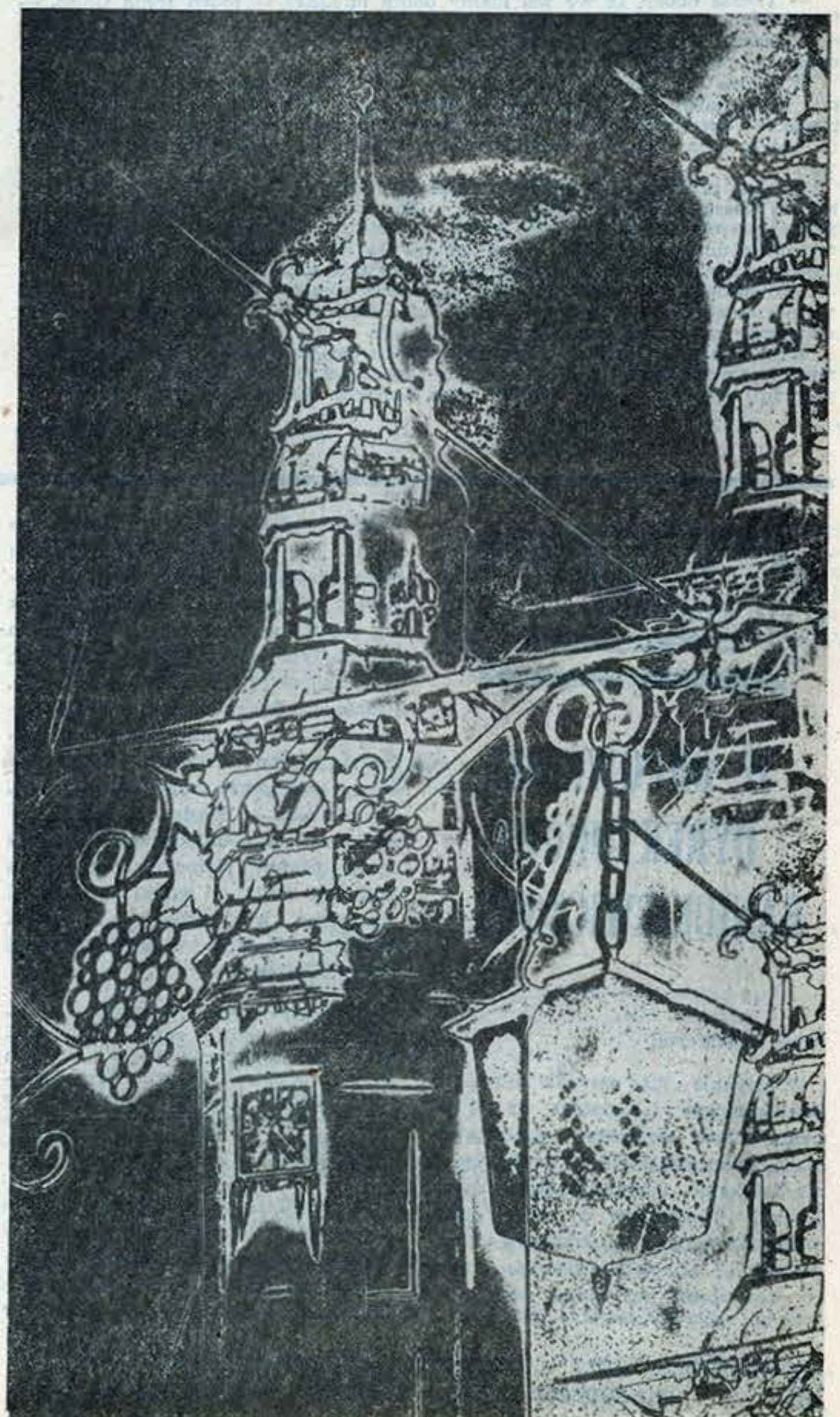
— A więc pozostajemy nadal przy piecach w sporej części Zielonej Góry, bo sprawa centralnego ogrzewania dla jednego z najstarszych osiedli mieszkaniowych — Wazów — ponownie została odłożona?

— Jeszcze na jakiś czas. Jest to kwestia trudnych wyborów, z jakimi nieustannie mamy do czynienia. W pierwszej kolejności musimy zapewnić ciepło dla nowowznoszonych osiedli — co roku oddajemy do użytku w mieście około 1000 mieszkań. Mniej więcej zrównoważony bilans tego ciepła mamy za-

pewniony do 1992 roku. I nie rozwiąże tej sprawy budowa jeszcze jednej kotłowni osiedlowej. Generalnie, w początku lat 90-tych trzeba przystąpić do dalszej rozbudowy elektrociepłowni — IV-tego jej etapu. Jest to bowiem jeden z warunków określających dalszy rozwój miasta. To także jedna z najbardziej kosztownych inwestycji, której odkładać nie można. Podobnie rzecz się ma z innymi, równie ważnymi z ekologicznego punktu widzenia — budowy miejskiej oczyszczalni ścieków. Właściwie ze względu na brak środków powinniśmy ją odłożyć do lepszych czasów. Nie chcemy jednak tego robić. Jak wiadomo, powołaliśmy spółkę z udziałem ponad 20-tu zielonogórskich zakładów pracy i inwestycję tę realizujemy w miarę możliwości, stopniowo. Dodam tylko, że nie wyczerpuje to na szych doraźnych nawet starań o ochronę środowiska naturalnego w mieście i wokół niego, miasto jest bowiem otoczone lasami. Wiele tu jednak zależy od ludzi, trudno np. walczyć z dzikimi wysypiskami śmieci, a środki, jakimi dysponujemy na te cele są również skromne. Sporo jednak udało się już zrobić w dziedzinie ograniczenia najpoważniejszych źródeł zanieczyszczeń, zwłaszcza przemysłowych, w samym mieście. Chcąc jednak mieć dokładniejszą poznaną sytuację w tej dziedzinie, prowadzimy systematyczne badania czy stężeń powietrza w kilkudziesięciu punktach Zielonej Góry.

— Mówimy tu o problemach, które zaprzętać będą uwagę władz miejskich jeszcze długo. Tymczasem obywatele sprawdzają jakość życia w mieście codziennie, nie szczędząc krytycznych opinii w sklepie, w autobusie. Co robicie, aby zmieniać tę niezwykle denerwującą, męczącą ludzi sytuację?

— Nie ukrywam, że i nas ona męczy. Nie stoimy jednak wobec niej z założonymi rękami. Wobec pogarszającej się systematycznie sprawności komunikacji miejskiej, od której tak wiele zależy, zdecydowaliśmy się przejąć od 1 lipca br. PKM jako przedsiębiorstwo miejskie. Bardzo to obciąża nasz budżet, bo przecież przedsiębiorstwo to nie jest w stanie samo się utrzymać. Wpływ z bi letów mimo kolejnych podwyżek ich cen — a obawiam się, że nie była to ostatnia podwyżka — pokrywają za ledwie 30 procent jego potrzeb. Przecież jednak nie możemy z tej komunikacji zrezygnować. Na razie udało się powstrzymać dalszy spadek jej sprawności eksploatacyjnej. Rzecz jednak nie w ilości autobusów, których nawet



Ciąg dalszy na str. 6

FOT. CZESŁAW LUNIEWICZ

ROCZNICA WRZEŚNIA

W całym kraju niezwykle uroczyste obchodzone 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej i napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę. W województwie zielonogórskim główne obchody tej rocznicy odbyły się w Zaganiu, w którym w latach wojny znajdował się zespół obozów alianckich jeńców wojennych. Z tej okazji na terenie b. Stalagów VIII C Sagan odbył się Zlot Zielonogórskiej Chorągwi ZHP. W Zaganiu, w którym w latach wojny znajdował się zespół obozów alianckich jeńców wojennych. Z tej okazji na terenie b. Stalagów VIII C Sagan odbył się Zlot Zielonogórskiej Chorągwi ZHP. W Zaganiu, w którym w latach wojny znajdował się zespół obozów alianckich jeńców wojennych. Z tej okazji na terenie b. Stalagów VIII C Sagan odbył się Zlot Zielonogórskiej Chorągwi ZHP.

franciszkanie z Niepokalanowa. Na grobach żołnierzy polskich, poległych w II wojnie światowej, których szczątki spoczywały w różnych miejscowościach woj. zielonogórskiego złożono wieńce i kwiaty.

NOWY ROK SZKOLNY

Wojewódzka inauguracja roku szkolnego odbyła się w Szkole Podstawowej nr 7 im. II Armii Wojska Polskiego w Zaganiu. Szkoła ta, ze względu na osiągnięcia przez nią wyniki, kilka miesięcy temu przyjęta została do Klubu Szkół Przodujących. W inauguracji udział wzięli przedstawiciele władz wojewódzkich i miasta Zagania, młodzież wraz z rodzicami, zaś uświetniła ją kompania honorowa II Drezdeńskiej Dywizji Pancerniej im. Jana III Sobieskiego. Grupa żołnierzy tej dywizji otrzymała wartościowe upominki za odnowienie elewacji szkoły w czynie społecznym.

SPADKOBIERCY BOJOWYCH TRADYCJI

W związku z obchodami 50. rocznicy polskiej wojny obronnej w 1939 r. w kilku garnizonach wojskowych w kraju odbyły się uroczystości nadania jednostkom wojskowym nazw i imion oraz przekazania bojowych tradycji. Stacjonujący w Gubinie 73 Pułk Czołgów Średnich wchodzący w skład 5 Saskiej Dywizji Pancerniej im. gen. bryg. Aleksandra Waszkiewicza otrzymał imię Ułanów Karpaccich. Na uroczystym apelu, w obecności licznie przybyłych b. ulanów karpaccich — uczestników bitwy o Monte Cassino, szefa Sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego gen. bryg. Tadeusza Wileckiego, władz i mieszkańców Gubina odczytano rozkaz ministra obrony narodowej o przekazaniu tradycji bojowych i nadaniu imienia. Rozkaz głosił m.in.: „Stworzony na obczyźnie Pułk Ułanów Karpaccich przeszedł trudny i pełny chwały szlak bojowy od Tobruku poprzez Monte Cassino, Anconę do Bolonii. Wielu żołnierzy pułku odznać się walecznością i męstwem osobistym. Wielu spośród nich na zawsze zostało w płaskich libijskiej pustyni i na cmentarzach wojennych we Włoszech. To m.in. o nich mówi inskrypcja wyryta na cmentarzu polskim pod Monte Cassino. „Przechodni powieść Polsce, żeśmy polegali wierni w Jej służbie”.

WOJSKO I ZABYTKI

Śląski OW sprawuje opiekę nad 360 obiektami, które są w rejestrze zabytków Polskiej Architektury Militarnej. Każdego roku tylko na drobne remonty i prace konserwacyjne tych obiektów wydaje 350 mln zł. Jest to niewątpliwie duża suma, ale nie można żałować pieniędzy na takie cele. Przykładem tego są Żary. Dzięki opiece wojska zachowały się tu i są dobrze utrzymane budynki dawnej Szkoły Rycerskiej wybudowanej w latach 1723 — 1785, pałacu ogrodowego z 1723 r. oraz budynki mieszkalne z 1870 i 1818 r. w których obecnie znajduje się Rejonowa.

SPROSTOWANIE

W 18 numerze w rubryce „Lubuskie personalia” — z winy korekty — zostało zmienione nazwisko Ryszarda Kozłowskiego, wiceprezesa Gorzowa. Zainteresowanego i wszystkich Czytelników serdecznie przepraszamy.

Komunikat Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego DRODZY CZYTELNICY!

Niestety, cena następnego numeru „Nadodrze” będzie już wynosić 140 zł. Nieco podwyżki wynika z gwałtownego, niezależnego od nas wzrostu kosztów wydawania prasy w ostatnim okresie. Podobnie, jak niedawna podwyżka, także i obecna nie zrównoważy w pełni tego wzrostu. Zespół redakcyjny nie będzie szczędził wysiłków, aby nadal tworzyć pismo atrakcyjne, zaspokajające zainteresowania wszystkich Czytelników.

wy Szpitala Wojskowego. Tutaj też mieści się kościół, administrowany przez wojsko. Dbają o zabytki gubińscy pancerzacy. Ich klub garnizonowy jest tego najlepszym dowodem. Zabytkowe obiekty, którymi opiekuje się wojsko znajdują się także m.in. w Kostrzynie — forty z 1919 r. i budynek z 1920 r. w Międzyrzeczu, w którym urządzony jest klub garnizonowy.

NOWY SEZON ARTYSTYCZNY

Rozpoczęły go Filharmonia Zielonogórska im. Tadeusza Bairda i Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego. Na pierwszy koncert Orkiestry, którą poprowadził jej szef Czesław Grabowski, złożyły się utwory Tadeusza Bairda, Antonina Dvoraka oraz Zoltana Kodaly'a. Teatr rozpoczął swą działalność po przerwie wakacyjnej widowiskiem autorskim Wiesława Holdysa „Mały ilustrator karawan”, wznowionym w zmienionej nieco obsadzie: obok Aldony Paczkowskiej, Sigrid Siewior i Małgo-

żaty Wower wystąpiła także nowa aktorka LT Elżbieta Donimirska. W bieżącym repertuarze znajduje się także „Wysypisko” A. Dudariewa wznowione z udziałem Zdzisława Grudnia. Jednocześnie zespół aktorski pracuje nad inscenizacją „dramatycznej balety w czterech oddziałach”, interesującej, a mało znanej sztuki Aleksandra hr. Fredry „Brytan — Bryś”. Z myślą o najmłodszym widowni teatr wznowia sztukę M. Kownackiej „Cztery mile za pięć”.

DRAWSKI PARK NARODOWY

Rozpoczęły się prace nad utworzeniem Drawskiego Parku Narodowego. Park ten objąć ma pod ścisłą ochroną 8.716,97 ha lasów i łąk w dorzeczu Drawy. W woj. gorzowskim znajduje się 5.575,64 ha tej powierzchni (czyli 63,9 proc.) zaś w pilskim 3.141,33 ha (36,1 proc.).

Spełniony testament

W Dąbrowce Wlkp. otwarto szkołę, o wybudowanie której zabiegali mieszkańcy tej patriotycznej, gospodarniejszej już w latach dwudziestych. Wtedy to, dzięki wysiłkom przebiegłym Związku Polaków w Niemczech, powstała tu w 1929 roku polska szkoła. Nauka odbywała się w prywatnych domach Blochów, Gólków, Kostyrów i Wiczków. Wykupiono plac na budowę, gromadzono materiały budowlane i fundusze. Rozpoczęte dzieło przerwała II wojna światowa. W pięćdziesiątą rocznicę jej wybuchu synowie i wnuki spełnili testament swych ojców i dziadków. „Dla mnie — powiedział Tomasz Sychala, jeden z głównych wykonawców tego pięknego testamentu — to niewątpliwie największe przeżycie, że doczekaliśmy tego zaszczepu i mogę na uroczystości w Dąbrowieckiej ogłosić naszym ojcóm, że ich testament został zrealizowany”.

Szkoła prezentuje się okazale. Została funkcjonalnie zaprojektowana w dwu latach, co jest u nas szybkim tempem i starannie wybudowana przez Komunalne Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane z Wolsztyna. Niektóre elementy rozwiązania nie bardzo nowoczesne. Oprócz funkcjonalnych izb lekcyjnych, szkoła posiada salę gimnastyczną, stołówkę, zaplecze gospodarcze, mieszkanie dla nauczycieli, muzeum pamiątek regionalnych. Szkoła jest „pomnikiem Rodła”, symbolu, który wyobraża kształt Wisły z zaznaczeniem królewskiego miasta Krakowa. Pod znakiem Rodła jednoczyli się Polacy w Niemczech w walce i pracy o zachowanie swojej tożsamości, za co wielu z nich, także w Dąbrowce Wielkopolskiej, po 1939 roku przypłaciło życiem. Znak Rodła w charakterze pomnika, wykonany z blachy przez Kombinat w Łąkach, zdobi niewielki, przedszkolny plac. W czasie sprawowania uroczystości otwarcia szkoły przypominano wiążące się z symbolem Rodła tak zwane Prawdy Polaków, ujęte w pięciu zdaniach credo działalności ZPN w latach międzywojennych. Są one także aktualne dziś, jak choćby Prawda Czwarta: „Co dzień Polak Narodowi służy”.

Wiele było przemówień, listów gratulacyjnych, podziękowań, najbardziej zasłużonym wręczono odznaczenia. Okazały gmach szkoły w Dąbrowie jest jeszcze jednym dowodem, że nawet w ciężkich, kryzysowych latach stać nas na wspaniały wysiłek dla dobra powszechnego. Oby wszystkie dzieci w Polsce uczyły się w takich warunkach jak te w Dąbrowce, której nazwa, jak głosi legenda, od imienia wielkiej księżnej pochodzi.

Wśród setek przybyłych na uroczystość otwarcia szkoły odnotujemy obecność Zbigniewa i Stefana — synów Jana Baczewskiego, wybitnego działacza Związku Polaków w Niemczech, posła na sejm pruski, jednego z organizatorów szkolnictwa polskiego, także na Pograniczu. To właśnie Jan Baczewski dokładnie sześćdziesiąt lat temu uczestniczył w otwarciu szkoły polskiej w Dąbrowie. Mówił o tym nie bez wzruszenia Zbigniew Baczewski, deklarując pomoc dla nowo powstałej szkoły w imieniu działającego także dziś w RFN i Berlinie Zachodnim Związku Polaków. I była wśród zebranych Wanda Chełkowska, która w latach trzydziestych jako młodszą nauczycielkę przyjechała do Dąbrowki, żeby popracować dwa, trzy lata i zauroczona wsią, jej mieszkańcami, pozostała do dziś. Za tę miłość do Dąbrowki wiele zapłaciła w latach wojny. Uczyła całe pokolenia dąbrowian. Od dawna gromadzi dokumenty, pamiątki świadczące o polskości wsi, stare narzędzia pracy, stroje, które z wielką starannością wykonywano teraz w szkolnej zbiorze muzealnej Wanda Chełkowska doskonale pamięta te sprzed pół wieku starania o budowę szkoły w Dąbrowce. Także jej pragnienia, choć późno, spełniły się.

„Rota” odśpiewana także przez dzieci w Dąbrowie przed ich nową szkołą, nie była tylko jedynie punktem programu artystycznego.

W cieniu parkowych drzew

Gospodynią Klubu Prasy i Książki w Nowym Kramsku od kilku lat jest Irena Galas. Przyszła na krótko, ale wciągnęła się w nowe, nieznane jej dotąd arkaną tego szczególnego w swoim rodzaju zawodu i teraz jest już dla niej wszystko swojskie i bliskie. Kiedyś było trudniej, bo była tylko sama i zdana wyłącznie na własne siły i umiejętności. Teraz jest iże, ma do pomocy animatorkę kultury. Jest nią Maryla Waligóra — nauczycielka, z wykształcenia polonistka i rusycystka. Wspólnie zorganizowały kabaret, który już kilkanaście razy wystąpił na różnych imprezach artystycznych i kulturalnych, a ostatnio — podczas wręczenia klubowi odtwarzacza video za zdobycie pierwszego miejsca w turnieju pod nazwą „Złoty Klub RSW 1987/88”.

Były też i inne wyróżnienia, np. nagroda w turnieju o „Klubowy Laur” w 1986 r. Jedną z największych niespodzianek stało się jednak absolutne zwycięstwo zespołu klubowego z Nowego Kramsku w międzywojewódzkim konkursie z okazji 70. rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Uczestnikami tego zwycięskiego zespołu byli: Maryla Waligóra, Wojciech Waligóra i Beata Muńko. Ważną funkcję wychowawczą spełnia amatorski teatrzyk dziecięcy „Cudaczek”, który nie tylko występuje na różnych przeglądach i z okazji uroczystych imprez, ale często wystawia swoje spektakle dla najmłodszych widzów Nowego Kramsku i okolicznych wsi. Teatrzyk prowadzi animatorka kultury. Wkłada w tę pracę dużo serca i dobrej woli.

Bardzo aktywnie pracują także różne sekcje i kółka zainteresowań. Sekcja fotograficzna, istniejąca zresztą od dość dawna, wykonuje całą dokumentację fotograficzną. Jej zdjęcia zdobią kronikę i wszystkie fotogazetki ścienne. Ostatnio są trudności z uzyskaniem materiałów fotograficznych, ale i z tym jakoś sobie radzą.

Pracują także inne sekcje: recytatorska, plastyczna i szachowa, pod opieką Maryli Waligóry, Ireny Galas oraz Genowefy Sulek — kierowniczkę filii Gminnej Biblioteki Publicznej w Babimoście. Dzieci z sekcji co roku biorą udział w turniejach i konkursach. Członkowie sekcji recytatorskiej uczestniczą w konkursach „Spotkania z poezją i prozą”, a dzieci z sekcji plastycznej biorą udział w turniejach pod nazwą „Gdybym był pisarzem i malarzem”. Odniosły już wiele różnych sukcesów.

— Trzeba dodać, że we wsi mamy dobrą młodzież — mówi Irena Galas. — Gromadzi się wokół klubu i w czynach społecznych wykonuje wiele pożytecznych rzeczy. Zrobiła np. ławki, które stoją przy klubie i we wsi, siedzenia z pní drzewnych, ozdoby z korzeni drzew dla klubu.

W klubie jest czysto i przytulnie. W jednej z izb urządzono kącik czytelnicy, gdzie każdy może sobie wybrać interesujący go tytuł dziennika lub czasopisma. W okresie jesienno-zimowym funkcjonuje uniwersytet powszechny TWP. Ci, którzy chcą pogłębiać swoje wiadomości, mogą korzystać z tej formy oświatowej.

Nie bez znaczenia jest fakt, że bardzo dobrze układa się współpraca z naczelnikiem Miasta i Gminy w Babimóście — Ryszardem Bodnarem. Wykazuje on duże zainteresowanie działalnością klubu. Ostatnio, gdy dowiedział się, że placówka otrzymała odtwarzacz video, zaraz zakupił trzy taśmy magnetowidowe za 48 tysięcy złotych. Niby niewiele, a jednak dla klubu to sporo.

Placówka ta jest więc dobrze wyposażona w sprzęt audiowizualny, który przeważnie otrzymała z Oddziału RSW w Sulechowie i innych instytucji, za sukcesy odnoszone w różnych konkursach i turniejach.

Klub Prasy i Książki w Nowym Kramsku posiada jeszcze jedną zaletę, mianowicie zlokalizowany jest w pięknym, stylowym pałacu stojącym pośród starożytnych lip, dębów i klonów. Wokół cisza i spokój. Warunki do pracy idealne.

ZENON CZARNECKI



W ODPOWIEDZI DYREKTOROWI BANIUKIEWICZOWI

Panie Redaktorze!

W artykule „Pięć sezonów dyrektora Baniukiewicza”, („Nadodrze” nr 15) pisałam przede wszystkim o przedstawicielach, tylko marginalnie i bardzo ogólnie nie dotykając innych, pozaszczeniowych kwestii. Tymczasem w swojej odpowiedzi pan Antoni Baniukiewicz („Nadodrze” nr 17) pisze wyłącznie o tym, co poza sceną, pozwalając sobie przy tym na zgola nieistotne insynuacje.

Żeby wiedzieć co nieco o teatrze, nie muszę być informowana wyłącznie przez dyrektora. Mnie na przykład wystarczy wiadomość od aktora, że dyrektor złożył mu propozycję przejścia do Gdyni. Tymczasem, jak się dowiaduję z repliki, aktor nie wiedział, co mówi. Podobnie o braku intelektualnego i artystycznego porozumienia się z dyrektorem jako o powodach zaprzestania dalszej współpracy mówili mi reżyserzy. Jeden z nich — Wiesław Holdys — pozwolił mi na opublikowanie w prasie ostrego protestu złożonego do dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki na praktyki stosowane w gorzowskim teatrze. Oświadczenia tego nie publikuję, choć leży przede mną.

Być może myliłam się pisząc, że „nie miałem wszyscy aktorzy spakowali już walizki”. Przypuszczam, że nie liczyłam. Wiem jednak na pewno, że to aktorzy rozpoczęli szukanie nowych miejsc pracy, by zmienić dyrektora i że ci, którzy najlepiej zapisywali się w pamięci widzów, już tu nie wrócą.

Przyznam, że z głębokim zdziwieniem przeczytałam informację, iż przez wszystkie lata, a nie tylko w bieżącym, teatr pobierał pieniądze za wynajmowanie sali na Spotkania Teatralne. Gdyby

teatr był samowystarczalny finansowo, może bym jeszcze rozumiała takie praktyki. Ale jeśli bierze się pieniądze ze wspólnej kasy wyłącznie za to, co jest statutową działalnością, czyli zapewnienie oferty teatralnej, odbieram to jako daleko posunięte nadużycie. Już teraz wiem, dlaczego przez cały czas nie można było zatrudnić osoby odpowiedzialnej za artystyczny kształt Spotkań. Ciągłe uważam, że taki dyrektor Spotkań jest niezbędny, zwłaszcza gdy teatr uchyla się od organizacji imprezy. Kiedyś rzeczywiście kierownik Wydziału Kultury i Sztuki UM zaproponował mi taką funkcję, a ja, mając świadomość wszelkich trudności, czułam się na siłach podjąć to zadanie. Okazało się jednak, że takie dodatkowe zlecenie przetrasta możliwości finansowe organizatora. Teraz wiem, że wygrała... opłata za salę. A konsekwencje są takie, jak to było widać w maju br. Kompromitujące.

Ale jak sądzę, dla sprawy, kluczowa kwestia dotyczy słusznego protestu pana Baniukiewicza „by młody człowiek właśnie w teatrze miał się z p. Kamińską układać”. Przypuszczam, że absolutnie nie. Znam mnóstwo lepszych miejsc do układania się.

Dwa lata temu, pełniąc obowiązki redaktora naczelnego „Ziemi Gorzowskiej”, skierowałam do druku recenzję Dariusza Muszera z „Wujaszka Wani” w reż. Antoniego Baniukiewicza. Recenzja była krytyczna, więc zaczęło się do stawiać i mnie i autorowi, po czym pan Baniukiewicz poinformował na tablicy ogłoszeń cały zespół, że już załatwił, kto będzie recenzował przedstawienia w

miejscowej prasie. Tekst ten został obfity przez prasę od „Gazety Lubuskiej” po „Życie Literackie”, ale ja musiałam przzenieść się z recenzjami do „Nadodrze”, a Dariusz Muszer — bez wątpliwości jeden z najciekawszych ludzi regionu — już od blisko roku mieszka w RFN-ie. Decyzja o wyjeździe była dla niego równoznaczna z życiową klęską. Tę klęskę przygotował mu m.in. pan Baniukiewicz.

Od pewnego czasu społecznie szefuje Zarządowi Wojewódzkiemu Towarzystwu Kultury Teatralnej. Nasz Zarząd (nie ja sama) organizował spotkania po premierowej, na które zapraszani byli reżyserzy lub aktorzy (najczęściej dwie osoby). Zaproszeni zawsze wiedzieli o terminie, który był przez nich wyznaczony. Inni aktorzy rzeczywiście mogli dowiadywać się z prasy, co jako zarzut wysuwa pan Baniukiewicz. Pomija jednak, że sam miał pretensje do reżyserów, którzy przyjeżdżali, do aktorów, którzy przychodzili, że mnożył dodatkowo zajęcia teatralne, by spotkanie nie mogło się odbyć. W tej atmosferze nie tylko organizowanie ich, ale konsolidowanie ludzi na rzecz „kultury teatralnej” stawało się wręcz niemożliwe.

Od września pan Baniukiewicz pracuje w Gdyni, ale można przypuszczać, że do Gorzowa powróci, gdyż zatrudniał mieszkanie służbowe. Nowy dyrektor jeszcze nie zjechał na stałe, ale aktorzy, którzy z nim rozmawiali, zwrócili uwagę na sposób bycia całkiem odmienny od poprzedniego dyrektora: podczas rozmowy patrzy w oczy.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

LATO Z KRZYŻÓWKĄ

Poziom rozgrywek umysłowych w Waszym piśmie już od pewnego czasu nie przynosi satysfakcji miłośnikom tego rodzaju zabawy. Pisał o tym niedawno w liście do redakcji jeden z Waszych czytelników.

To, co zaprezentował jeden autor cyklu „Lato z krzyżówką”, zakrawa na czystą kpinkę z czytelników. Wiadomo na wet początkującym „krzyżowcom”, że typowa krzyżówka powinna zawierać wśród krzyżowanych wyrazów rzeczowniki w liczbie pojedynczej. Co widzimy natomiast w krzyżówce (dla przykładu) pomieszczonej w nr 17? Otóż są tam liczne wyrazy w liczbie mnogiej (np. kłose, sztangi, rzeczowniki), są i owszem przymiotniki (sympatyczny, krzywy), a nawet bezokoliczniki (opanować). Na nie zwykłą już nieumiejętność autora wskażę użycie takiego samego wyrazu — Westa, aż trzykrotnie. Niech się autor — Stangar — rumieni. Cóż jednak, jak się nie potrafi, to dobra wola nie pomoże.

Gdzie te dawne, dobre czasy wysokiego poziomu.

Z poważaniem
Tadeusz Wolski
Zielona Góra

Szanowny Panie!
Trzykrotnie użycie słowa WESTA była celem zamierzonym, gdyż była to krzyżówka reklamowa.
Za uwagi w liście dziękuję.
Z poważaniem STANGAR

— Zafascynowany korytarz. W „kolejce” siedzą kilka tysięcy nazwisk. Kleustanny napór interesantów. Jak to Pan jest?

— Jak Pani widzi, nieźle. Dobijam właśnie 55 rocznicy urodzin.

— Trudno uwierzyć!

— Czy Pani wie, że od paru lat jestem najstarszym w kraju pod względem stażu, naczelnikiem Wydziału Paszportów?

— Co Pan myśli o ludziach? Przepływa ich tak wiele przez Pański wydział.

— Co myśli? Hmm... Oceniam ich. Na przykład: dają do wypełnienia ankietę i potem czytają: wykształcenie — magister. W rubryce zawierającej pytanie „czy posiada dzieci?”, magister pisze: „nie dotyczy”. Bez sensu! Tak, ma Pani rację. Zwracam uwagę na detale. Czy to źle?

— Ludzie mówią, że jest Pan impulsywny.

— Bo taki jestem. Ale jestem życzliwy. Wszystkich, którzy tu przychodzą, traktuję jednakowo i każdego staram się jak najlepiej załatwić. Pierwszeństwo zawsze mają u mnie emeryci i kombataneci, ponieważ położenie człowieka, który wyszedł z obojgu, uważam za bardzo trudne. Powiedziała Pani o przepływie. W ciągu całego roku 1971 wydaliśmy 722 paszporty. A teraz tyle samo wydajemy w ciągu jednego dnia!

— Mimo to kolejka coraz dłuższa.

— Dane osobowe, numer, izowanie zdjęcia, osiem stempeli. To musi trochę potrwać. Produkujemy paszporty w Zielonej Górze i Nowej Soli. Szybciej już się nie da.

— Przyszedł, by porozmawiać przede wszystkim o Panu. Oficer, szef wydziału WUSW, kolekcjoner, historyk, pisarz. Ciekawi mnie, jak się to wszystko w Panu kształtowało?

— Po ukończeniu w 1952 roku liceum pedagogicznego w Ośnie Lubuskim, pracowałem w Zarządzie Wojewódzkim ZMP w Zielonej Górze, a moim szefem był Hieronim Szczegół, dzisiejszy profesor. Wtedy wszystko się zaczęło — rozmowy, plany. Nasze pokolenie miało swoje cele. Byliśmy ambitni. Matka moja nie żyła od 1946 roku. Ojciec wrócił z niewoli jako stuprocentowy inwalida. Kiedy więc zaproponowano mi pójście do szkoły oficerskiej Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, uznałem to za wielką szansę na wyjście z biedy i życiowy awans.

— Była to szkoła wyższa?

— Skądże. Byłem w niej jednym z nielicznych słuchaczy, posiadających średnie wykształcenie. Po ukończeniu szkoły otrzymałem pracę w Wydziale Kadr MO w Zielonej Górze. Odczuwałem coś w rodzaju niedosytu wiedzy. Interesowała mnie historia. Rozpocząłem studia w WSP w Warszawie, oczywiście zaocznie. Dobrze mi szło, toteż po trzech latach, gdy otrzymałem temat pracy magisterskiej — o Joachimie Lelewelu i jego działalności we Francji, dość szybko pracę tę napisałem. Ale studia miałem wciąż nieukończone! Bra kowało mi jednego egzaminu. Jak Pani myśli, z czego?

— Dla wielu pechowa jest łacina...

— Taką też była dla mnie. Musiałem się wycofać. Powróciłem do nauki dopiero po dziesięciu latach, już na Uniwersytecie Warszawskim. Zdałem wreszcie tę zaległą łacinę. I przystąpiłem do magisterium. Prof. Stanisławowi Herbstowi przedstawiłem dwanaście tematów, odpowiedzianych mi przez prof. Szczegół. Prof. Herbst wybrał mi temat o Woldenbergu, po czym rozstał się na trzy lata. Z początku miałem „pietrę”, że nie wystarczy mi materiału na obowiązkowych co najmniej 60 stron. Tymczasem, jak się później okazało, materiału zebrałem zbyt wiele!

— Rozumiem. Zdarza się to niekiedy również nam, dziennikarzom.

— W tej sytuacji zwróciłem się do prof. Herbsty z prośbą o zawężenie tematu pracy magisterskiej do spraw związanych z działalnością kulturalno-oświatową wśród jeńców Woldenberga. Zgodził się. Napisałem ponad dwieście stron, obroniłem. I uzyskałem dyplom magistra historii.

— Kiedy to było?

— W 1973 roku. Pomyślałem: trzeba coś robić dalej! W jednym pokoju uczyła się żona, w drugim córka, obie studentki. Mnie zostawała kuchnia. Po 22.00 rozkładałem się tam z moimi książkami, notatkami, fiskalami i całym majdanem. Pracowałem cztery lata. Szperałem po bibliotekach, notowałem, porównywałem. Wreszcie zgłosiłem się w Uniwersytecie Poznańskim z gotową pracą doktorską. Moim promotorem był prof. Szczegół.

— A prof. Jakóbczyk, o którym wspominał Pan wcześniej? Pytam, ponieważ znałem osobiście profesora. Poznałem go w Telewizji Poznańskiej, gdy zbierałem materiały do cyklu pt. „Potomkowie nieromantycznych”. Później przeprowadzając z nim wywiad, zbytnio zawierzyłem magnetofonowi i nagranie wypadło nieczytelnie. Już go nie powtórzyłem, ponieważ profesor zmarł. Często go wspominałem.

— Prof. Jakóbczyk był jednym z trzech recenzentów mojej pracy doktorskiej, obok profesorów Olejnika i Kozłowskiego. Byłem przekonany, że recenzentów jest tylko dwóch. Toteż przestraszyłem się trochę. Pomyślałem: co skłoniło prof. Jakóbczyka do zainteresowania się moją pracą? Bo dowiedziałem się, że sam zgłosił chęć recenzowania! Jak się okazało, był kiedyś jeńcem, choć nie w Woldenbergu. Napisał świetną recenzję i okazał mi wiele sympatii. W dniu obrony był promotorem innego doktoranta. Ale na obiad nie poszedł z nim, tylko ze mną, co mi pochwiliło.

— Czytał: „Jury konkursu o nagrodę im. A. Zawadzkiego na najlepsze prace habilitacyjne, doktorskie i magisterskie dotyczące lat wojny, okupacji, odbudowy i rozwoju PRL, przyszanje p. Janowi Olesikowi wyróżnienie za pracę doktorską pt. „Oflag II C Woldenberg 1940—45”. Czy to wyróżnienie pomogło w wydaniu książki?

— W wydaniu nie. Umocniło mnie tylko w nadziei, że książka powstanie. Prof. Jakóbczyk większą część swej recenzji poświęcił sugestiom, że moja praca powinna być wydana. Napisał nawet, co należy skrócić, była to bowiem praca olbrzymia.

— Wyróżnienia, pochwały, sugestie. A o wydanie książki autor musi zabiegać sam, wiem coś o tym.

— Podobno miał Pan sprawę sądową, o co?

— O obrazę. Powodem stały się słowa, również będące cytatem, a dotyczące koła pułkowego: „Skład osobowy tego koła wręcz karykaturalny...”. Dalej wymieniałem parę osób: „książę, Żyd, syn średniozamożnego chłopca”. Ten ostatni obraził się, i, twierdząc, iż jest szlachcicem, wystąpił w sądzie z żądaniem ośmiu zadośćuczynień, w tym spalenie całego nakładu książki.

— Faktycznie był szlachcicem?

— Sprawdziłem wszystkie herbarze i w żadnym nie znalazłem tego nazwiska. Nie było go także wśród nazwisk tych, którzy podsywali się pod szlachtę. Dostałem też list od córki pewnego jeńca, która zakwestionowała dwa szczegóły. Niestety, jak się okazało, ja miałem rację, a to ona nie знаła dobrze historii swego ojca. W jeszcze innym liście syn Woldenberczyka uzupełnił dane o swym ojcu, zawarte w mojej książce.

— Książka, jak sądzę, jest jednym z ważnych dokumentów II wojny światowej. Daje przy tym pełny obraz życia obozowego. Napisana jest wartko i czytelnie.

— Mój mistrz prof. Szczegół powiedział coś podobnego, mianowicie: że piszę „lotnie”. Tymczasem ja piszę w trudzie! Skreślałem, poprawiałem — i znowu od nowa! Pisanie uważałem za ciężką pracę. Niektórzy pytają, co brzmi ładnie, czy znowu mam coś „na warsztacie”. Nie mam!

PASZPORT DO HISTORII

Z ppłk dr Janem Olesikiem, naczelnikiem Wydziału Paszportów WUSW w Zielonej Górze, autorem książki o obozie jenieckim Woldenberg rozmawia Halina Ańska



FOT. TOMASZ GAWALKIEWICZ

— I nie jest to łatwe. Pierwszy ewentualny wydawca — Gorzowski Wydawnictwo Naukowe postawiło warunek co do objętości: nie mogła przekraczać dziesięciu arkuszy. Zwróciłem się więc do wydawnictwa MON. Nie byłem tam pewny swego, ponieważ wcześniej, zbierając materiały do pracy doktorskiej, dowiedziałem się, że warszawska grupa Woldenberczyków od dawna już pracuje nad pracą zbiorową o Woldenbergu. Postanowiłem poczekać z moją książką do czasu, aż ukaże się tamta. A gdy ukazała się, odetchnąłem! Była zbiorem wspomnień, czyli całkiem inną, niż moja.

— Jan Olesik: „Oflag II C Woldenberg”, 368 stron, twarde białe okładki. Wydawnictwo MON, Warszawa, rok wydania 1989. Jak byli jeńcy Woldenberga zareagowali na książkę?

— Otrzymałem sporo listów, jedne po chwalne i dziękczynne, inne wprost odwrotnie. M.in. przyszedł list z Australii. „Nie był pan w Woldenbergu, nie widział pan mojego zegara!” — pisał autor. I dalej do mnie z wyrzutami, że na stronie 76 mojej książki został obrażony, ponieważ piszę o baraku 12 „a”, zrobiłem go Żydem. Tymczasem ja tylko powtórzyłem to, co czternaście lat wcześniej napisał generał Kuropieska: „Był to barak żydowski, gdzie dokwaterowano Polaków”.

— Recenzje z Pańskiej książki były świetne, m.in. także w „Nadodrze”, pisał dr Andrzej Toczewski.

— Parę lat temu, w recenzji z czterech numerów „Przeglądu Lubuskiego”, w których ukazały się moje artykuły o Woldenbergu, autor zarzucił mi że stworzyłem mit Woldenberczyków... Pytała Pani o ich reakcje na moją książkę. Powiem Pani teraz o mojej reakcji na nich — byłych jeńców, których poznałem osobiście, lub którzy przewinęli się w opowieściach ich kolegów. Za fascynowali mnie ci ludzie! Nauczyłem się od nich wiele przez te lata, gdy pracowałem nad tym tematem. Byli wspaniałymi patriotami. W warunkach niewoli potrafili nie tracić godności. Walczyli o nią. Przestrzegali własnego, niepisanego kodeksu. Nie wolno było podać ręki Niemcowi. Za najniebezpieczniejszy występ na temat Polski groził natychmiastowy sąd. Nie było przypadku, by ktokolwiek naskarżył do Niemca na kolegę.

— Opisuje Pan w książce drastyczny przypadek wykonywania wyroku śmierci...

— Jeden z jeńców, nazwiskiem Seeman, został zidentyfikowany jako agent Abwehry, który zdradził podkop. Postanowiono ukarać go śmiercią. Do wykonania wyroku posłużyła żelazna rura owinięta w gazetę. Został uderzony, ale nie dość silnie. Zalany krwią zdołał dobiec do bramy, gdzie otrzymał pomoc od Niemców. Są opisane dalsze

jego losy.

— Jak zbiera się materiały do takiej jednostronnej, ale wielowątkowej książki?

— Bardzo różnie. Gdy dorwałem pierwszego rozmówcę, wyciągnąłem od niego dość sporo. Od drugiego już trochę mniej. A trzeci i czwarty zaprzeczali wszystkiemu, co tamci powiedzieli! Musiałem przeprowadzić długie i drobiazgowo dochodzenia. Odrzucać jedne informacje, brać drugie. Korygować, sprawdzać. Tak to było.

— Spośród poznanych przez siebie byłych jeńców Woldenberga, czy wymieniliby Pan kogoś szczególnie ciekawego?

— O tak! Ciekawą postacią był np. „najstarszy obozu” płk Wacław Szalewicz. Pochodził z rodziny książęcej i w młodości był ponoć paziem carskiej.

— Poza książką warszawskich Woldenberczyków i Pańską, czy są jeszcze jakieś inne wydawnictwa o tym obozie i miejscu?

— Jest sporo wydawnictw, bardzo różnej wartości. Powstaje folder o Dobiegniewie — to dzisiejsza nazwa miejscowości. Ja trafiłem na autentyczny dzieńnik obozowy, napisany ręką Józefa Bohatkiewicza. Są też dwa inne pamiętniki wyniesione z obozu: Romualda Moszcego i Stefana Kotarskiego. Dzięki nim wiele faktów dało się zweryfikować. W Woldenbergu przebywało około siedmiu tysięcy jeńców. Zнали oni realia, które bezpośrednio ich otaczały, ale o całym obozie, na ogół, nie wiedzieli zbyt wiele. Dla nich, jak teraz twierdzą, moja książka jest szczególnie cen-

Pan może losy ludzi, którzy z otrzymaną tu „przepustką” wyruszyli w świat?

— Niekiedy coś do mnie dociera. Moim zdaniem Polak za granicą, myślę o Zachodzie, łatwo się adaptuje. Szybko zmienia obyczaje, nazwisko, narodowość, religię. Łatwo też się degraduje. Osoby wykształcone, z wyuczonymi zawodami, czasem nawet nie zadają sobie trudu, by znaleźć stałą pracę. Zadowolają się byle czym. Całymi latami żyją z zasiłku i zajęć dorywczych. Zeby tylko przeżyć, ubrać się, zjeść. Satisfakcją jest dla nich „zalapanie się” gdzieś do pracy „na czarno”. Całkowicie wygasają w nich jakieśkolwiek ambicje! Jest to objaw wręcz tragiczny.

— A ja znam takich, którzy wrócili do kraju, po latach... Są też i tacy, którzy urządzili się za granicą, nie muszą wygetować na zasiłku dla bezrobotnych i coś znaczą w obcym społeczeństwie.

— Owszem, ale często za cenę wyparcia się polskości. Miałem okazję poznać różne przypadki.

— W całym cywilizowanym świecie ludzie jeżdżą, dokąd chcą i dobrze, że wreszcie i u nas zapanowała liberalna polityka paszportowa. Ale kiedy widzę Polaków wysiadających na berlińskiej Kurfürstendamm ze swym drobnym handlem, zaczepiających przechodniów i ofiarujących im „żytniówkę” na kieliszki, wstydzę się za tych ludzi.

— Proszę Pani! Jeśli dobrze pamiętam, to jeździła Pani dość sporo. Czy kiedykolwiek miała Pani trudności z otrzymaniem paszportu? Nie? No widzi Pani! Chęć przez to powiedzieć, że nasza polityka paszportowa zawsze była liberalna! Każdy człowiek, do którego nie było zastrzeżeń, otrzymywał paszport bez trudu. Może tylko więcej było biurokracji. Dziś paszporty otrzymują niemal wszyscy. Pojechać za granicę może każdy, kto chce.

— Chwała Bogu więc, że zapanowała wreszcie normalność.

— Ten ścisk i te kolejki nazywa Pan normalnością? Ja nie!

— Stopnie naukowe, książka, wspomnienia koleje, stanowisko, nazwisko, dorobek, tytuły. Jak Pan, z perspektywy czasu ocenia, co pchało Pana do tych celów? Co było najsilniejszą siłą motywacyjną?

— Wielkie słowa... W rzeczywistości — przeżyłem straszliwie biedne dzieciństwo. Kiedy po wyzwoleniu zacząłem naukę w III klasie, nie miałem nawet butów. Podrąbałem obcas i chodźłem do szkoły w butach matki. Cała klasa się śmiała. Pomogła mi więc ta moja bieda i pragnienie wydobycia się z niej. Dziś patrzę, jak moja córka lekko wydaje pieniądze i uśmiecham się pobożliwie, ale sam tak nie potrafię. Zostało we mnie coś z tamtych lat.

— Co by Pan uznał w obecnej chwili za swe największe osiągnięcie?

— Fakt, że jestem z życia zadowolony. Choć zdaje sobie sprawę, że sam być może już niczego więcej nie osiągnę. Może osiągnie moja Bożena? Ukończyła WSP w Zielonej Górze, zrobiła doktorat na Uniwersytecie Humbolta w Berlinie...

— Gratuluje! Wszak dzieci też należą do naszych osiągnięć. Ale — Panie Pułkowniku, rozmawiamy już dość długo, a ja nie spytałam Pana jeszcze, skąd Pan pochodzi. Zawsze o to pytam, w nadziei spotkania krajana z mojej kochanej Kielecczyny.

— Niestety, rozczaruję Pana. Pochodzę spod Nowego Tomyśla, moja rodzina wieś nazywa się Pakosław.

— I jeszcze jedno: w jakim miejscu Pan się urodził?

— W czerwcu, dnia szesnastego.

— Pod znakiem Bliźniąt, w zasięgu planety Merkury. Wszelkoność, komunikatywność, obiektywizm, intelektualizm, ciekawość świata i ludzi. Uprzejmie dziękuję za rozmowę i życzę dalszych sukcesów, może jednak następnej książki?...

— O, nie!

Wojciech Izaak Strugała

Widzenie

Siedziała w kucki, rozebrana z Jeziora. Na grzbiecie dłoni opadły jej włosy: poskręcane w pierścionki dwie złote fale. Nabrala wody w martwe ręce: woda płynęła przez usta wyschnięte. Włożyła Jezioro na gołe ciało, ubranie leżało na ławce rozpięte.

— Tam jest głęboko! — powtarzam jej co dzień. — Uważaj na siebie, fale są wysokie. Coś płynie, widzę, uwiązane na wodzie, fala przelotna zabrała ją z sobą.

Jak cicho deszcz pada na moje ciało. Spada na mnie ulewa, szmer chłodnej fontanny. Cierpienie nie ma już kształtu ludzkiego: burza zerwała jabłko większe od jabłoni.

Ociekam winnym sokiem, rumieniąc się lekko.

On szukał nowej przygody, ona wielkiej miłości. Dla niego istniały dwa rodzaje kobiet: boginie i te nie wartujące. Piękna fotografka Dora Maars wierzyła, że jest dla niego boginią. Jednak Pablo Picasso uprawiał z nią okrutną grę — pana i niewolnicy. Z pewnej siebie, wyemancypowanej kobiety zrobił bezwolną, jęczącą istotę. Dora Maars wyjechała na oddział psychiatryczny, podczas gdy u boku mistrza była już następna.

„Będę cię kochał tak długo, jak długo będę oddychał” — pisał król Edward VIII do Wallis Simpson, swojej kochanki. Dla tej niemiłej już, dwukrotnie rozwiedzionej Amerykanki, król zrezygnował z tronu, przyjął i swych ambicji.

Nie tylko miłość przysięgała 20-letnia Anna Snitkina 45-letniemu Fiodorowi Dostojewskiemu, wyznając: „Przez całe życie będę przed tobą klęczała”. Namietność młodej sekretarki do starzejącego się pisarza była tak bezgraniczna, a pragnienie całkowitego poddania się tak silne, że zносиła ona z jego strony wszystkie afronty, obsceniczne listy i perwersje.

Co powoduje, że normalni ludzie przez kształcą się w bezwolne, poniewierane istoty, tracąc dumę i osobowość? Co każe mężczyznom wyzywać się rodziną, majątkiem i rozsądkiem? Dlaczego rujnują się dla kobiet, jak np. „Profesor Unrat” w powieści Heinricha Manna pod tym samym tytułem? Dlaczego kobiety pozwalają się poniewierać?

Otóż powodem jest ten rodzaj miłości: uległość, poddaństwo i bezgraniczne namietność. Monachijski psychiatra i psychoanalityk dr Wilhelm Schmid-Bode mówi:

NIEWOLNICY MIŁOŚCI

— Uczucie to ma cechy narkomanii. Pragnienie posiadania partnera wciąż pozostaje niespełnione. Jest to nałóg, wymagający zwiększania dawki.

Gdzie znajduje się granica między namietnym poddawaniem się, a chorobliwym uzależnieniem? Czyżby gotowość do totalnego posłuszeństwa tkwiła w każdym z nas? A może jest dziedziczna?

— Na rozwój człowieka składają się doświadczenia od wczesnego dzieciństwa — mówi dr Schmid-Bode. Pierwsze przeżycia dają podstawę struktury charakteru. Słowem, coś, co przeżyło się będąc dzieckiem, może mieć ścisły związek z późniejszymi skłonnościami seksualnymi.

W taki właśnie sposób, lęk, osamotnienie lub niedowartościowanie przeżyte w dzieciństwie, mogły związać Duke'a z Windsor z Wallis Simpson, zaś tęsknota Dory Maars za silnym charakterem ojca mogła spowodować chorobliwe uzależnienie się od Picassa.

Poddaństwo ma w miłości wiele odmian. Dla jednych jest nieustannym przebywaniem w transie. Dla innych stanowi tak silne i tak rozkoszne emocje, że warto dla nich się poniżyć. Zawsze przy tym występują lęk i uczucie utracenia własnego „ja”.

„Podają się, bo inaczej nie potrafią. Bo egzystuje tylko dzięki tobie. Bo pobudziłeś we mnie coś, co nie powinno być pobudzone” — pisał do swego ukochanego 51-letnia kobieta, jedna spośród 360 osób, które zgłosiły się w wyniku ankiety ogłoszonej w gazecie.

Nieoczekiwano zgłosiło się więcej mężczyzn niż kobiet. Mężczyźni płacząc opowiadali o swym nałogu i związanym z nim podwójnym życiu. Mówili, że nigdy dotąd nie odważyli się nikomu opowiedzieć swojej historii. Kobiety wzywały, że poddawały się perwersyjnym praktykom, by nie utracić ukochanego mężczyzny. Dopiero po kilku godzinach rozmowy odważyły się przyznać do tęsknoty za odrobiną szczęścia...

U wielu spośród tych osób poddaństwo było ściśle związane z perwersjami seksualnymi. Inni uważali, że ich uzależnienie wynika z niskiego mniemania o sobie, przy czym wybory brzmiały pozytywne cechy partnera.

— Na początku takiego poddańczego związku — pisał Karin Gundel z Uniwersytetu w Goettingen w czasopiśmie „Seksualmedizin” — ofiara popada w błąd, wszystkie role przypisując partnerowi i tracąc przez to możliwość obiektywnej oceny. Wtedy w partnerze rodzi się despotyzm, któremu ofiara się poddaje. Nigdy w takim związku nie ma partnerstwa. Zawsze jest despot i jego ofiara. Fascynujący i zafascynowany. Władca i poddany. Łączą ich silne pragnienia: jedno pragnie władzy absolutnej, drugie absolutnego podporządkowania się. Jeden raz — razem, wystarczy, by trudno było się rozstać.

— Chcę cię natychmiast, nagle! — brzmi w słuchawce kobiecy głos nie

znoszący sprzeciw. Nie ma tu młotów na flirt, czule słowa. Jest rozkaz. I posłuszeństwo!

Dwa — trzy razy w tygodniu dzwonił telefon u Petera Ahrensa. Często zdarzało się to w firmie, w pracy, kiedy Peter rozmawiał z klientami. Mimo to nie zastanawiał się ani chwili. Z wilgotnymi dłońmi i bijącym sercem jechał, by stawić się na rozkaz. Samochód parkował w bocznej ulicy, daleko od willi, w której czekała ona — jego władczyni.

Stosując się do telefonicznych poleceń, Peter Ahrens rozbił się już w hallu. Do naga, jak zażądała.

— Z podniecenia kręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że jakaś fala wypluła mi z głowy rozum. Czasem tylko, na początku naszego związku miałem coś w rodzaju wstydu...

Peter wstydził się, kiedy ona siedziała na drogim, antycznym krześle, w jedwabnym kostiumie i taksowała go spojrzeniem. Surowa, chłodna i wyniosła. „Domina”.

Peter Ahrens szalał za tą kobietą. Był nią opętany, owładnięty. Nie była ładna, ani młoda. I nawet nie była sympatyczna. Mimo to miała nad nim władzę przez trzy lata. Upokarzała go i gnębiła. Umożliwiła mu poznanie ciemnych zakamarków jego osobowości. Rzadko „domina” była łaskawa i nagradzała jego szaleńcze uczucie czymś miłym.

— Czasem pozwalała mi dotknąć swojej stopy...

Pe roku od momentu wyzwolenia się spod wpływu tej kobiety na pytanie, co takiego szczególnego w niej było, Ahrens odpowiada:

— Doprawdy nie wiem. Trudno mi to wyjaśnić. Miała 60 lat, była bardzo elegancka. Ceniona lekarka. Jej mąż przebywał przeważnie za granicą.

Sophie Barth stanowiła „wysokie progi” dla przeciętnego człowieka, jakim jest Ahrens. Należy do tej klasy społeczeństwa, w której jest oczywiste posiadanie letni dom, mówić kilkoma językami i ubierać się u projektantów mody.

— Mam 33 lata — opowiada Ahrens na ankietę w gazecie — jestem średnio zamożnym, samodzielnym kupcem w firmie handlującej nieruchomościami. Jestem rozwiedziony, mam syna. Matkę rozpadło się przez moje przyjaźnię z kobietami. Przed czterema laty poznałem tę „dominę” i uzależniłem się od niej. Ale zerwałem z nią. Później poznałem młodą dziewczynę, z którą chętnie ożeniłbym się. Nie mogę jednak uwolnić się od tamtej kobiety.

Ahrens mieszka na nowoczesnym, drogiej osiedlu. W trzech pokojach typowy dla kawalerskiego życia balagan: rozrzucone ciuchy, porostawiane puste naczynia po jedzeniu i picu. W wielkim ściennym regale, serie wydawnicze, które „trzeba mieć”. Sporo literatury. Zdjęcie dziewczyny, o której Ahrens mówi „mój skarb”. On sam ubrany jest w drogą, skózaną kurtkę, koszulkę polo i dżinsy Giorgia Armani.

— Chcę mówić. Ale potrzebuję kogoś, kto nie odsądzi mnie od czci i wiary. Pewnie bardzo źle zabrzmiały moje historie. Duszę się. Nie wiem, jak żyć.

Jak to się dzieje, że 33-letni, atrakcyjny mężczyzna nie może oderwać się od 65-letniej „dominy”? Zapewne choroba jest odczuwanie satysfakcji seksualnej tylko wtedy, gdy jest się poniżanym i nieustannie pragnie się poniżania. A może to konsekwencja tej uciążliwej namietności i strachu przed odkryciem podwójnego życia?

Peter Ahrens miał 28 lat, kiedy zdał sobie sprawę, że pragnie czegoś więcej poza monotonnym, rodzinnym życiem. Wpadło mu kiedyś w ręce wydawnictwo porno z gatunku sado-masochistycznych. Dzięki temu poznał nowe sposoby podniecania się.

— Są to o wiele bardziej ciekawe rzeczy, niż sobie wyobrażałem...

Odtąd seksualne fantazje wypełniały myśli Ahrensa. Przeszkadzały mu w normalnym współżyciu z żoną. Utrudniały nawet „skoki w bok”. Wszystko wydawało mu się zbyt nudne i powierzchowne, zbyt zwyczajne. Rodzi się w jego głowie pomysł, by przeżyć coś całkiem zwariowanego.

Dokończenie w następnym numerze

Tłumaczyła i opracowała
BEATA BARTOSIEWICZ

Pogotowie tylko opiekuńcze

Alina Suworow

Na skraju Zielonej Góry Pogotowie Opiekuńcze. W nim dramaty ponad pięć dziesięcioleci młodych ludzi.

IZA ma 14 lat. Trzy razy była w Milicyjnej Izbie Dziecka.

— Opuszczaliśmy zajęcia w szkole. Za dwie godziny kiedys od ojca chyba ze sto pasów, a właściwie kabli. Cała była posiniaczona. Wstydziłam się rozbrajać na w-fie. Zmusili mnie, a potem zawieźli na pogotowie. Nie chciałam wcale, aby się wtrącali. Ojciec miał przebieżać... Kocham ojca, chociaż on się mnie wyrzekł. Gdyby coś mu się stało, chyba bym zwariowała...

Nie potrafił dokładnie sprecyzować, dlaczego uciekała z domu. Tak jakoś wyszło. Ostatnio znaleźli ją śpiącą obok kubiów na śmieci.

— Mama była niedawno. Zgodziła się po długich wahaniach, abym pojechała na przepustkę do domu. Pani Stenia też ją prosiła... Miałam wytrzymać tylko parę dni.

Nie wytrzymała. Uciekała na drugi dzień po wyjeździe mamy.

— Przyjeżdżam do domu, a tam trzy wozy milicyjne. Pytają czy lubię milicję. — Nie. — To czemu uciekałaś? — Bo lubię z nimi pojeździć za darmo. Za ucieczki obciąli mi włosy. Czwartka zaparkowała...

— Buzowałam, ale wcześniej. Kleje, rozpuszczalnik, benzynę. Najdłuższy pół godziny. Spodobało mi się. Świat jest wtedy taki kolorowy. Nie ma smutków... Tutaj zmuszają nierzaz. Jak nie weźmiesz, to możesz przypadkiem dostać... Dziewczyny jakoś to załatwiają. Idą do pana Gienka. On tu stróżuje na budowie...

Jest tu grupa tak zwanych „wacha-czy”.

— Bierze się woreczek foliowy. Do środka daje się butapren, rozpuszczalnik lub benzynę. Wdychać trzeba głęboko, przez usta — tłumaczy MARTA. — Jeśli chce się złapać wizję trzeba długo buzo wać i o czymś cały czas myśleć...



FOT. JERZY SZALBIERZ

— Mama otruła się przez ojca, bo ciągle chodził pijany. Robił awantury i bił. Ja zaczęłam uciekać z domu. Wtedy zaczęłam też wachać. Robiłam to bez przerwy, prawie codziennie, aby zapomnieć. Gdy byłam na chaju, to nie myślałam. Miałam wizję.

MAGDA. 13 lat. Energiczna czarnulka.

— Mój ojczym jest taki nienormalny. Pije i bije za byle co. Tyle razy mówiłam mu, żeby złożył sobie kaftan. Ganiał mnie wtedy z paskiem naokoło stołu. Wachałam wiele razy. Miałam wizję. Siedzieliśmy z kolegą. Wpatrywałam się w drzewa. Pojawiały się stworki, które wyciągały do mnie swoje pazury.

Przyszła MONIKA. Ładna, wysoka blondynka o niebieskich oczach. Ma czternaście lat. Wygląda na co najmniej osiemnaście.

— Matka truje ciągle dupę. Nie umiem się z nią dogadać. Ojciec odszedł od nas,

gdy miałam cztery lata. Brat jest teraz w domu dziecka w Łęknicy. Matka miała wcześniej faceta, ale z bratem nie odzywałam się do niego. Miał przykry charakter. Wieśniak. Odszedł po roku. Teraz mogłaby sobie kogoś znaleźć. Kiedys mnie biła. Teraz nie da rady. Nie żał mi jej. Wcale nie chcę do niej wrócić...

ANIA jest wrażliwa i spokojna. Ma trzynaście lat i nigdy nie wahała.

— Zaczęłam uciekać z domu, bo rodzice mnie bili i pili wódkę. Ojciec powiedział, że to moja sprawa. Nigdy mnie tutaj jeszcze nie odwiedzili. Piją średnio trzy razy w miesiącu po cztery dni. Nie kocham ich i nie chcę do nich wrócić. Teraz pójdę prawdopodobnie do domu dziecka...

Za drzwiami wrzaski, śmiechy, gwizdy. Małi chłopcy, 7-9 lat. Wchodzą do ich pokoju. Przedstawiają się. Na dole w hallu ktoś krzyczy: Precz z glinami! Nienawidzę glin!

— Nic nie mówcie! Ona nagrywa! Później wszyscy będą was słyszeć!

AREK jest stanowczy, nieprzejednany.

— Co panią do wszystkiego obchodzi?!

To nasza sprawa...

Zbieram się do wyjścia.

— Dokąd pani idzie?

— To moja sprawa.

— Dobra, niech pani przyjdzie do nas, pod ośmkę.

Muszę pokazać im swoją torbę i kurtkę. Chcę się upewnić czy nie mam schowanego magnetofonu. Są nieufni bardziej niż dziewczęta.

— Przecież to byłby obciach — mówi Arek.

— Dlaczego? Przecież i tak wszyscy o nas wiedzą — odpowiada mu któryś z chłopców.

Szeptają coś na ucho. Naradzają się.

Zgoda, ale bez nazwisk.

— Tak. Niech pani o nas napisze. Może mój tata przeczyta... choć lepiej, żeby było w radiu na długich, wtedy by o nas na pewno usłyszeli.

— Tęsknisz za domem?

— Proszę pani, wszyscy chcą wrócić do domu. Na pewno wszyscy. Nie ma takiego, co by nie chciał...

AREK też chce wrócić, chociaż w domu nie ma warunków.

— No, nie rozumie pani? Mama pije. Ale nie jest nałogiem; tak niech pani nie pisze... Nie mogłam być przy niej. Ojciec nie żyje. Pedagog mnie tu umieścił. Uciekałam z domu i krałem...

— I wlamywałes się! I banki opierda lales! — krzyczy MARIAN.

— Wlamywałam się prawie do wszystkich sklepów w Lubsku. Wtedy, jak byłem na ucieczce. Wybiłam szybę z tyłu sklepu. Brałem pieniądze i jedzę nie. Musiałem jakoś sobie radzić... Mu si to pani o nas napisać. Na pierwszej stronie. Na całej dużej stronie.

Krzyś pluje na podłogę.

— To jest burdel... Do szkoły nie chodzę, bo mi się nie chciało. Szkoła jest tylko dla durni... Pewnie, że pale. Wszyscy tu palą. W pogotowiu jest tylko pięć osób, które nie palą, nie licząc przedszkolaków.

PAWEŁ jest bardzo pewny siebie. Ma jedenaście lat. W domu spalał dwie paczki papierosów dziennie. Ojca nie ma. Nierzaz kłóci się z bratem i jeśli ten go bije, to ucieka z domu. Ma jeszcze trzy siostry...

— Ja zrobiłem trzydziści jeden wla mań — chwali się ARTUR. Ma również jedenaście lat. Chodzi do czwartej klasy.

— Do supersamu weszłem przez dach. Kumpie byli na dole. Pili wódkę. Rurą odgąłem gwoździe. Parę razy młotkiem i piętą odpadał. Później zrobiliśmy otwór w ścianie... Wziąłem parę piw w puszkach, trochę czekolad, gumy do żucia. Piwo sprzedaliśmy pijakowi... Później kumpel spękał i zadzwonił na milicję, a ja... uciekałem z domu. Wlamywałam się jeszcze do sklepu, do przed szkoły.

Tutaj, w pogotowiu jest mu lepiej niż w domu... Gdy tata wraca pijany, to go bije, a ja... codziennie... Artur wla mań się też do poloneza pani Basi, swojej opiekunki. Później było mu wstyd... Za brali zioła, czekolady, resztkę zakopali, aby nikt się nie dowiedział. Ale Waldek ze strachu wygadał.

— Z ojcem rozmawiałem o różnych sprawach. To już tajemnica. Chciałbym pojechać do domu, tylko żeby on nie pił. I żeby pracował... Nie chcę już żadnej pomocy. Chciałbym, żeby wszystko się zmieniło...

Uciekają zazwyczaj grupami. Zawsze w określonym celu. Z planem włamania. Później o wszystkim opowiadają wychowawcom. Wlamują się do sklepów, do samochodów. Jedną z grup wjechała do Lubsku. Napadli tam na szkołę, przedszkole...

Dla nich jest to też forma pewnego dowartościowania. W ten sposób pozbywają się jakby swoich kompleksów wyniesionych z domów. Każde dziecko chce być zauważone, chce się popisać, zabłysnąć, być kimś, wzbudzać podziw.

— Dopiero później, już jako dorośli ludzie, godzimy się na przeciętność.

Gdyby widziała pani Norberta — mówi opiekunka, pani Basia. — Niewysoki szatynek, taka przylepa. Spec od włamań do samochodów. Wcale się z tym nie krył. Opowiadał w szczegółach. Potrzebował trzech sekund na włamanie... Dzieci robią to różnie. Nogą poprzez umiejętnie kopnięcie w zamek, sru bokrętem, nawet szczerzątką do zębów...

Druga z opiekunek, pani Stenia — tak nazywają ją dzieci — zanim przychodzi do ośrodka na dyżur zastanawia się co ma robić, jak z dziećmi postępować, aby nie uciekli. Przynosi ze sobą produkty, prosi. Wspólnie gotują, pieką ciasto, uczą się szyć, szydełkować, haftować. Pokazuje starannie wykonane serwetki i inne drobiazgi. To wszystko zrobili dzieci, dla nauczycieli i... dla swoich mam. Wszystkie bardzo tęsknią za domem.

— Gdyby dostały się w dobre ręce — mówi pani Stenia — szansa na poprawę istnieje zawsze; ale nasze dzieci wracają ciągle do tych samych środowisk, głównie kryminalnych.

Arek był ostatnio „na ucieczce”. Pani Stenia widziała, jak prowadził po ulicy swoją pijaną matkę, która kłęja i wyzywała na czym świat stoi.

Była świadkiem, gdy przywozili dzieci pobite przez rodziców, wyciągnięte prosto z knajp, miejskich rynsztoków.

Niedawno przyprowadzono chłopca ze złamanym obciachem. Do tego stopnia został maltretowany przez ojca. Najpierw trzeba go było umieścić w szpitalu.

Sama przyszła tu tylko na próbę. Coś w rodzaju chęci zmiany nudnej siedzącej pracy. Poza tym możliwość sprawdzenia siebie. Została.

Zapraszają na dół, do świetlicy. Pani Basia siedzi przy pianinie otoczona grupką dzieci. Chcą zaśpiewać piosenkę. Wybrali smutną.

I jeszcze Paweł. Paweł chce śpiewać o mamie.

Zapamiętałam oddzielne wersy:

„Mamo, dlaczego jesteś taka smutna? Przecież ja dobry byłem...”

Mamo, ja noszę w sobie cierpienie i ból,

Mamo, wracaj do mnie...”

— On ją tak bardzo kocha — mówi mi później pani Basia. — Tak jej potrzebuje. Nie była u niego ani razu... To są dzieci odrzucone, dzieci niechciane. Pozostawione samym sobie i... ulicy.

Kontynuujemy druk fragmentów wojennych wspomnień Bolesława Karca. W poprzednim odcinku autor opisał swoje aresztowanie po walkach partyzanckich w lesie oraz przeżycia związane z przesłuchaniem przez gestapo i wywiezieniem do Oświęcimia...

O budził nas zgrzyt zasuwanego, ciężkiego drzwi wagonu. Pociąg stał. Wsłuchiwałem się w dziwne, niesłyszane do tej pory odgłosy, dziwne, bo odznaczające się jakąś wielką masowością.

Wstawał świt. Z tego szumu ni to hałasu, dobiegającego zza ściany wagonu, można było rozróżnić tupot tysięcy obu-tych w drewniane nagi, jakieś krzyki, komendy, wściekłe ujadanie psów, jakąś muzykę marszową. Nasłuchiwałem wszyscy. Ktoś wstał i podszedł do zakratowanego okna.

— Podśladźcie mnie — poprosił.
— To Oświęcim — poszedł szept po wagonie.

Przez szpary w deskach widać było odmienne, szare, przynębiające obrazy: druty, długie baraki, wieże strażnicze, a między nimi masy wynędzniałych istot okrytych w dziwne pasiaki, poruszających się w porannej mgie. Wiało od tej panoramy drutów i szarych długich dachów grozą i przynębiał. Wczorajsze, widziane podczas jazdy, krajobrazy zieleni, złota i słonecznej przestrzeni, krajobrazy ciepła i nadziei, nagle zmieniły się w szare i groźne. Kontrast był zbyt wielki, by nie przynębiał. Tam brzęk kos, śpiew ptaków, tu wściekłe ujadanie psów, groźne okrzyki, przylatująca krematorijny dymami atmosfera. Dopiero wstał świt, a już cały obóz się ruszał. Na najbliższym planie, tuż za ścianą wagonu, stali w bliskiej odległości od siebie rozkraczani SS-mani, trzymając na smyczach wyrwijące się w stronę transportu psy.

Odsunięto drzwi i wzdłuż całego pociągu rozległy się ryki:

— Raus! Schnell! Banditen! Raus verfluchte Hunde!

Skakaliśmy z wysokich wagonów, padając na tych, którzy upadli wcześniej. Po obu stronach drzwi stali SS-mani, okładając kijami i bykowcami. Wreszcie kilkuset więźniów stanęło w szeregu, karnie, piątkami. Rozcinano na rękach sznury. Na przodzie kogoś tam szarpał pies. SS-man walił bykowcem. Widocznie nie podobała mu się czyjaś twarz, albo chciał wyładować swój zły humor.

Na komendę ruszyliśmy biegiem. Po obu stronach SS-mani z psami, które z przekrwionymi ślepiami i pianą w pyskach rwały się do nas z charkotem. Nauczono ich nienawidzić ludzi... Kopniaki, uderzenia, krzyki, wściekłe warczenie psów, kurz i groza, unoszący się nad biegnącą kolumną.

Słyszałem już o Oświęcimiu i o krematoriach. Biegniemy właśnie w stronę kominów. Mijamy betonowe zbiorniki, pełne śmierdzących odpadów. Pracują przy nich ludzkie cienie okryte pasiakami. Nawet nie patrzą na nas. Za nami strzał, potem drugi. Do myślamy się, że albo ktoś próbował coś zrobić w bok nie zdając sobie sprawy, że stąd nie można uciec, albo ktoś inny bardzo słaby nie nadążył, upadł, a oni postarali się, by na zawsze. Nie ogląda-

my się jednak. Tam, skąd jedziemy, nauczono nas nie oglądać się. Wypisano to krwawymi śladami na naszych skórkach.

Zziębnięci, wpadamy w bramę dziedzińca. SS-mani oddali nas w ręce obozowych funkcyjnych. Ci noszą dobrane pasiaki i mocne kije. Nie widać, by od czuwalu głód, nie widać na ich twarzach również oznak litości czy współczucia dla innych.

Stoiśmy długo, zmęczeni i głodni. Nie mieliśmy nic w ustach od trzydziestu sześciu godzin. Przed nami długi niski budynek z napisem nad drzwiami — „Waschraum”. Wchodzimy wreszcie kolejno do dużego pomieszczenia, w którym otrzymujemy worki, do których mamy włożyć cały ubiór wraz z butami. I znowu do kolejki.

CZAS GIEŁNENNY

BOLESŁAW KARCA

Małe komando dokonywało golenia. Maszynkami ze starymi żarzewiatymi żyłkami szarpali na sucho zarost na głowie, pod pachami i na podbrzuszu. Zdzielali włosy razem ze skórą, kaleczyli i zacinali. Płynęła krew. „Ogolino”, biegnę za innymi w następne drzwi, gdzie zamiast progu głęboki na pół metra basen betonowy z roztworem chloru, w który każdy musi obowiązkowo wejść. W tym czasie dwóch w pasiakach, maczając duże pedzle w wiadrach, polewa nas całych tą palącą cieczą, od której na drugi dzień tuszczy się skóra. Najgorzej piekły miejsca skalezione „goleniem”.

Biegniemy pod prysznic. Każdy później dostaje pasiaki, koszuły i kałoseony oraz okragłą czapkę, wszystko w szaro niebieskie pasy. Dostajemy też trepy na drewnianych podestach, miskę i łyżkę. Potem — do ewidencji. I do tatusza na rękach po obozowe numery. Słyszę, jak stojący przede mną podaje, że jest tokarzem. Decyduje się i podaje również zawód tokarza. W życiu nie widziałem tokarki, ale... może wywożąc gdzieś do fabryki. Zadzieram rękaw na lewej ręce, na której wykluwają mi dziwnym przyrządem, zakończonym trzema igłami, numer. Krew miesza się z tuszem. Ale mogę odczytać — 190970. Tak więc w krótkim czasie odebrano nam ubranie, nazwisko. Wkrótce zespola wysiłki, by odebrać nam sprawność fizyczną i psychiczną, godność człowieka — by nas ostatecznie zniszczyć, unicestwić.

Ktoś w szeregu przede mną mówi, że każdy musi nauczyć się na pamięć, jaki ma numer, i to po niemiecku, bo to teraz nasze nazwisko. W razie zapomnienia otrzymuje się co najmniej trzy-

ści kijów. „Häftling” nie ma żadnych praw, a obowiązki? Zdejmowanie czapki przed SS-manami, bez szemrania odbieranie uderzeń i ciosów, bez szemrania wyjazd „na wolność” przez komin krematorium. Kto szybko nie zorientuje się w tych prostych obowiązkach, ten obrywa najwięcej. Tu trzeba mieć refleks i umieć unikać czyhającej zewsząd śmierci.

Ustawionych znów piątkami przejmują kilku osobników w pasiakach, z opaskami na rękawach. Na nich napisy: Lagercapo, Obercapo, Capo, Blackalter, Lageralter...

Gdy znów ruszamy, popędzają nas wrzaski: — Links! Links!

Wreszcie stajemy przed blokiem numer pięć. Stubendienst spisuje nasze numery. Jest już chyba po południu. Słońce przytępia. Mieszkańcy bloku siedzą

— Stillgestanden! Mühen ab! Die Augen rechts! — donośnie rzuca komenda blokowy. Poczem staje na baczność i melduje o stanie liczebnym bloku. To samo powtarza się, gdy przychodzi groźny Lagerführer.

Po godzinie wreszcie koniec apelu. Stan Birkenau zgadza się. Wreszcie pado rozkaz rozjeżdżenia. Siadamy i natychmiast kładziemy się tam, gdzie staliśmy. Prawie od razu zasypiam.

Ktoś mnie nagle szarpnął za ramię. Zerwałem się i wraz z innymi pobiegiem do baraku. W szerokich jak w sto-dole wrotach stał blokowy, stali stubendienst z kijami, okładając nimi kogo po padło. Schyliłem, przemknąłem do środka. Za innymi wdrapałem się na osutnią od góry w środku baraku, buksę. Za mną wciągali się inni. Wkrótce spędzono pozostałych maruderów.

wrażen, zasnąłem. W nocy, co jakiś czas, ktoś nie mogąc wytrzymać bólu od leżenia bokiem na twardych deskach, próbował zmienić pozycję i budził wszystkich, gdyż tylko wszyscy mogli obrócić się jednocześnie...

Drugi dzień naszego pobytu w koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau rozpoczął się brutalnym:

— Alle aufstehen! Raus! Los!

Switało. Wypędzono nas na plac. Było zimno i mgliście. Z baraku wyniesiono sześć trupów. Leżeli w równym szeregu, straszliwie wychudzone. Skóra i kości. Szkielety. Patrzyli niemo, zasnuty przez mgłą śmierci oczami.

Po apelu otrzymaliśmy pierwszy od sześćdziesięciu godzin posiłek, składający się z brunatnego, gorzkiego napoju. Od tej pory aż do wieczora, bez względu na pogodę, nie było wolno wchodzić do bloku. W ponurych nastrojach, nadal głodni, chodziliśmy po placu między piątą a szóstą blokiem.

Rozglądałem się wokół. Funkcyjni mieli namalowane obok numerów winki w różnych kolorach. Arbeitsdienst miał w kolorze zielonym. Wyraźnie był widoczny na białym skrawku płótna, przyszytego na lewym boku spodni oraz na kurtce, w okolicy piersi. Wszyscy pozostali mieli winki czerwone, na wet blokowy. Dowiedziałem się, że kolory określają przestępstwo: czerwony — politycznych, zielony — bandytów, czarny — sabotażystów i różowy — ho-moseksualistów. Winki zielone i różowe przeważnie nosili Niemcy. Wszyscy pełnili w obozie rozmaite funkcje. Dobrze odżywieni i ubrani byli panami życia i śmierci. Im który był większym gorliwym, im więcej bił, zabił, tym większym cieszył się uznaniem władzy SS-mańskiej...

Była druga połowa września. Staliśmy na rannym apelu. Z bram obozowych płynęły dźwięki „musikmarschów”, dobiegał kłopotliwy szum nóg obutych w drewniane, dochodziły krzyki komend. Ludzie szli do pracy.

— Links! Links!

— Mühen ab! Mühen auf!

Trochę się po pewnym czasie uczyszyło. Od strony rampy słychać świst lokomotywy. Przyjechał nowy transport. Setki nowych ofiar. Jak co dzień.

Stoiśmy i zastanawiamy się, dlaczego nie każą się nam rozjeżdżać. Pod blokiem leży dwadzieścia trupów wywiezionych rano z baraku. Czekają na rolowanie. Tak, jak co dzień.

„Jak przeżyjesz, wolnym będziesz, jak umarłeś, wolny już” — deklamuje ktoś w szeregu znane słowa.

Zjawili się blokowi z listą w ręce oznajmiając, iż ci, którzy zostaną wycyżeni, będą się ustawiać w szeregu po przeciwnej stronie placu.

— Czy to nie transport, panie blokowy? — padło nieśmiało pytanie z szeregu.

— Ruhe da! — warknął, nie patrząc na pytającego.

Wyczytywał numery. Szereg po drugiej stronie rósł.

— Einhundert neunzigtausendundsiebzig.

To ja.

Zżyliśmy się przez te dwa miesiące głodu i grozy. Razem czuliśmy się jakoby pewnie, mocniej, bezpieczniej. Teraz rozdzielają nas. Czy spotkamy się jeszcze? Gdzie nas zabierają, i co z nami będzie?

Pociąg wyjechał za obozową bramą.

(Dokończenie w następnym numerze).

Ostatnia z rodu na Zaborze (2)

ZECHCE PANI NIE OPUSZCZAĆ PALACU

27 stycznia 1939 roku obchodzono w Doorn osiemdziesiątą rocznicę urodzin eks-cesarza. Na tron królów pruskich i cesarzy niemieckich wstąpił w czerwcu 1888 roku po śmierci ojca, cesarza „99 dni” — Fryderyka III. Jako Wilhelm II przeszedł do historii Niemiec z oceną jak najbardziej negatywną. Charakterystyka zaważyła go „chorobliwa wręcz megalomania”, zamykanie do pustostanów, brak własnej tak przezeń oficjalnie głoszonej cnoty pruskich jak rozwaga i umiejętność postępowania z ludźmi. Cechowały go nadmierna fantazja i imaginacja, pogoń za tanią popularnością przy równoczesnym zachowaniu poglądów typowych dla mentalności junkra i militarysty: lekceważenie ustroju konstytucyjnego, nienawiść do demokracji i parlamentu, a zwłaszcza do socjaldemokracji”. Dyletantyzm i powierzchowność na wiedza, osobiste ingerowanie w bieg spraw państwowych, otaczanie się pochlebami i faworytami — wszystko to tworzyło — jak pisał S. Salomonowicz — „ów styl rządów i epoki, zwanej wilhelmską”, która doprowadziła Niemcy do klęski militarnej w pierwszej wojnie światowej i do rewolucji, która obaliła cesarstwo i wygnała z kraju wówczas sześćdziesięcioletniego Wilhelma II.

10 listopada 1918 roku cesarz opuścił Główną Kwaterę w Spa i przekroczył holenderską granicę. 28 listopada abdykował. Początkowo schronił się u hrabiego Bentinksa na zamku w Amerongen, a po załatwieniu formalności związanych z azylem zamieszkał w Doorn, gdzie zmarł 4 czerwca 1941 roku. Warto w tym miejscu przypomnieć, że eks-cesarz dożył jeszcze aktu kapitulacji Francji. Mimo nieraz publicznie wyrażanej dezaprobaty dla reżimu narodo-

wosocjalistycznego w Niemczech, to jednak przesłał Hitlerowi z okazji zwycięstwa nad Francją telegram gratulacyjny. Funkcjonuje pogląd, że aktywną rolę w tym spektakularnym geście odegrała cesarzowa Hermína, „fanatyczna zwolenniczka Hitlera”.

Czy Hermína była nazistką? Niewątpliwie na początku lat trzydziestych uległa zbiorowej psychozie swojej pki wobec kultu Führera. W późniejszym okresie jej stosunek do hitlerizmu podyktowany był lojalnością dynastyczną wobec Hohenzollernów i nie miał nic wspólnego z histerycznym uwielbieniem woda i jego polityki. Stary przyjaciel Hermíny, generał von Stephany, odwiedzał ją w kwietniu 1937 roku w Doorn, wyraził w rozmowie z jej sekretarzem Ilsemannem pogląd, że „jej Wysokość nigdy nie była i nie jest nazistką; jej przychylny stosunek do Ruchu nie wynika z pobudek osobistych, lecz z pewnej idei, której cesarzowa oddaje się bez reszty i której podporządkowuje wszystkie swoje działania...”. Obsesja jej było wzkrzeszenie cesarstwa i restrykcja tronu Hohenzollernów. Do tej idei nawiąże na początku lat czterdziestych tzw. „spisek generałów”, planując, po usunięciu Hitlera, uczynić wnuka Wilhelma II, księcia Ludwika Ferdynanda, namiestnikiem Rzeszy i nacelnym wodzem Wehrmachtu.

Na początku lipca 1941 roku Hermína wróciła do Zaboru. Jej trzej synowie — Jan Jerzy, Jerzy Wilhelm i Ferdynand — jako oficerowie Wehrmachtu przebywali już na froncie wschodnim. W Zaborze Hermína została otoczona przez Tajną Policję Państwową dyskretną, ale skuteczną „opieką”. Jej rozległa korespondencja poddana została ścisłej kontroli. Skarży się Hermína miejscowo-

wemu Kreisleiterowi Feldmannowi, że nawet listy od synów są kontrolowane przez cenzurę i otrzymuje je ze śladami nożyczek cenzora. Także znajomi, pragnący ją odwiedzić, muszą uzyskać zgodę zielonogórskiego gestapo na wyjazd do Zaboru. Interwencje Hermíny w Berlinie w tej sprawie nie odnoszą skutku. Berlin nie ufał jej. Rozległe konsekwencje Hermíny z niemiecką i międzynarodową arystokracją, której lojalność wobec Trzeciej Rzeszy w oczach jej wladców pozostawała wiele do życzenia, wzbudzały obawy, że mogą one stać się podstawą do spisku „bielotkowskich”, skierowanego przeciwko panującemu systemowi, a Zabor mógłby stać się jego bazą. W roku 1942 Główny Urząd Apropowacyjny Rzeszy ustanowił do dóbr zaborzanskich specjalnego komisarsa do spraw produkcji rolniczej i leśnej, któremu podporządkowana została dotychczasowa Dyrekcja Ekonomiczna Dóbr. Wymieniono niemal wszystkich dotychczasowych urzędników Hermíny; robotników rolnych i leśnych powołano do wojska, a ich miejsca zajęli robotnicy przymusowi i jenci wojenni. Część pomieszczeń zamkowych zamieniono na szpital wojskowy.

W związku z pogarszającym się stanem zdrowia cesarzowej — Hermína cierpiała na dolegliwości dróg oddechowych i zaczęła tracić wzrok — władze wyraziły zgodę na wyjazd do sanatorium w Garmisch Partenkirchen. Odwiedza także „Villa Doorn”, teraz należąca do „następcy tronu” Fryderyka Wilhelma. W drodze powrotnej do Zaboru zatrzymuje się u syna Ferdynanda na zamku w Gebich koło Gubina, przebywającego tam na rekonwalescencji. Tu, prawdopodobnie po raz pierwszy, zetknęła się bezpośrednio ze zlokalizowanym w sąsiedztwie zamku hitlerowskim obozem pracy przymusowej. Nie ma nigdzie informacji na temat reakcji Hermíny wobec tego, co tam zobaczyła. W Zaborze do tak antyhumanitarnych warunków bytowania przymusowych robotników i jeńców nie dopuściła.

W Zaborze obchodził swoje pięćdziesiąte urodziny. Hermína czuje się staro, doświadcza jej samotność i choroba, a najbardziej brak wiadomości

ci od najbliższych. Prawie nie opuszcza palacu. Kontakt ze światem zewnętrznym utrzymuje tylko przez lekarza i pielęgniarkę. Coraz rzadziej dochodzi poczta. Niebawem do Zaboru docierają pierwsze echa zbliżającego się frontu. Ewakuuje się szpital; Niemcy opuszczają swoje gospodarstwo, pałac pustoszeje. W zabudowaniach folwarcznych zostają nieliczni cudzoziemscy robotnicy przymusowi. W połowie lutego 1945 roku na podjeździe zamkowym pojawił się żołnierz radziecki.

Dowództwu radzieckiemu niewątpliwie znana była samotna, starsza pani mieszkająca na zaborzanskim zamku. Stąd też niemal natychmiast obiekt za-jety został przez specjalny pododdział żandarmerii wojskowej, który nie dopuścił do grabieży i samowoli. Na początku

marca umieszczono na pół ociemniałą Herminę w sulewochskim szpitalu. We wrześniu została przewieziona do Frankfurtu nad Odrą, gdzie oddano do jej dyspozycji leżącą na przedmieściu miasta willę. Domu strzegł radziecki posterunek wojskowy. Według oficjalnych danych zmarła 12 sierpnia 1947 roku wskutek ustania czynności serca w wieku sześćdziesięciu lat. Została pochowana na komunalnym cmentarzu we Frankfurcie nad Odrą pod swoim panińskim nazwiskiem Hermína Reuss.

Kraży pewna opowieść o tym, że oficer radziecki podczas pierwszej rozmowy z Hermíną w Zaborze odezwał się do niej bezbłędnie po francusku: „Soyez Vous gentile de ne pas quitter le palais!” Był w stopniu majora. Jego nazwiska historia nie ustaliła.

JERZY PIOTR MAJCHRAK



Czesław Sobkowiak

Nowa epoka

Zobaczyć jak księżęta tracą insygnia pałace i fortuny
I nikt nie daje posłuchu ich gromkim rozkazom
A wierni dotąd dworacy bezkarnie pierzchają
Każy w swoją stronę z rodzinami i dobytkiem
Głosząc gorliwie o prawie wyboru i niekzemności lukrowanych tw
Wyjawiając wszem i wobec wszystkie przestępstwa swych mocodaw
Zobaczyć posagi wszechwładnych bogów jawnie zwalone na bruk
Widzieć jak ludzie odzyskują mowę
A ulice i place dawne zakazane nazwy
I jak syją się kodeksy nagród i kar
Czytać poetów nieobecnych przez dziesiątki lat
Wnikać w najtajniejsze karty paktów i układów
Ustalać prawdziwe miejsca zdarzeń daty i okoliczności
Morderców nazwać mordercami
To może budzić zdumienie i radość
Ale dopiero odkrycie wielkości oddechu
I nieskończonej świetlistości kropli wody
Pozwoli nam ujrzeć bramy nowej epoki która dzisiaj nadchodzi

Waldemar Mystkowski

Monidło

technika niewyszukana; zresztą cokolwiek nas nie przemienię
jest niewyszukane w swej oczywistości; potrzebna
do tego prasa przedpotopowa, albo wygrawerowana płyta
oraz wałek, równo przycięte kartony i 4 kolory.
wysoki turkus, siena, głęboki zachód słońca i żółć;
w domu moich rodziców wisiało to na ścianie
pokoju gościnnego, przeciwnie, jak się wchodziło;
Józef z siekierą zarzuconą na ramie, Maria odpoczywająca
i bobas - Jezus, obramowani w aureole, prawdopodobnie
emigrujący do Egiptu;

kołysze mi się pamięć jak pamiątkowy breloczek
z uzdrowiska, muzyka góralska ilustruje to miejsce
i denerwuje, palę papierosa, zjeżdżały extra mocny;
defilują kobiety o stromych nogach, wydaje się
niechętnie spojrzoniom; wiem, jak to myłace;
bachory wrzeszczą, ciągną matki w kierunku dorożki,
gdzie autentyczna małpka i facet z głową niedźwiedzia
w dłoni pości się w tych godzinach popołudniowych,
mężczyźni płacą, kobiety o stromych nogach defilują,
ich wyraźnie zaznaczone kroczą przyciągają jednak wzrok;

muszę rzucić palenie, postanawiam, z rana kat
ytoniowy wyrzuci mnie na brzeg; wielkie narody
polykają małe narody, podobnie jak u Bruegla Starszego
przybijają do brzegu cywilizacji ze wzdętymi brzuchami,
brzuchy te się kraje i wysypują się z wnętrza
nniejsze ryby, które polykają jeszcze mniejsze ryby;
małżeństwa, najmniejsze komórki społeczne, najpierw
rnią, potem się rozpadają, popołudnie przechodzi w wieczór;
zwoździ gwiazdy polarnej zabija wreszcie to wleko
nade mną;

w domu moich rodziców monidło, by nie powiedzieć
kicz, nadal płowieje jak wszystkie wielkie słowa;
1984

Mieczysław J. Warszawski

Emigracja

Słodka się miłość ojczyzny kolebie
Słowo spełnione a ciało daleko
Marian Grześczak

Nie wygnani ale też nie powracają Dlaczego ich drogi
Podążają tamtędy a nie tędy pozostanie tajemnicą

Nie wiadomo dokąd zmierzają jak wybrańcy losu
Wśród tych co na kolanach wśród odwróconych plecami

Ich bezdomność zaprzęzona w juczne zwierzęta złudzeń
Powłóczy nogami jak człowiek któremu drogi nie ubywa

Rozchodzą się wciąż do innych narodów pod inne nieba
I ani kościół dla modlitwy ni kraju na ojczyznę nie mają

Zewsząd słyhać kroki odwrócone sprzed zaryglowanych drzwi
W których pokątnie zadowolają się na słowo w obcym języku

Ten język rządzi tym co nie może być im dane
Nie jest już nawet ludzką mową pod wspólnym dachem ten głos

Skąd się wywodzi ich gniazdo także skrytynie skrywają
Jakby zaginieni bez wieści odnajdywani skądinąd

Z wolna murszają powabne przestrzenie butwieje ciało nadzieja
Zatraca się w nicości byt oblicze codzienne poddanie

Lecz dalej idą idą aby dowiedzieć się czym jest dom opuszczony
Który pozdrawiają odległe nie wiedząc że ci co pozostali

Miedzy wersami odnajdują właściwe adresy swych bliźnich którym
Nie udaje się życie którym nie udaje się również śmierć

Czasami jedynie dochodzi ich wskrzeszona wiernie mazurkiem wieść
O pielgrzymującym królu obywateli całego świata

dedykuję bratu Henrykowi

Ciąg dalszy ze str. 1

nico przybyło na najbardziej obciążo-
nych trasach, ale w braku niezbędnej
ilości kierowców mimo, że ich place u-

A JEDNAK TOAST!

legły ostatnio wyraźnej poprawie. Nie
są one jednak nadal konkurencyjne wo-
bec innych propozycji, a zwracam uwa-
gę, że idzie o kierowców o najwyższych
kwalifikacjach. Sądzę, że mogłyby tę sy-
tuację zmienić autentyczny rynek pra-
cy. Na razie nowa dyrekcja przedsię-
biorstwa czyni wiele, aby ją poprawić.

— Wizytówką miasta jest jednak han-
del...

— Zgadza się, że dzisiaj jeszcze na-
dal nienajlepszą. Nie wszystko od nas
zależy. Zmiany w pożądanym kierunku
— a za taki uważam demonopolizację
handlu i wzrost jego konkurencyjności,
systematyczne wzbogacanie oferty han-
dlowej — wymagają czasu. Jesteśmy
otwarcie na wszelkie inicjatywy w tej
dziedzinie, łącznie z dopuszczeniem ka-
pitału zagranicznego na nasz rynek.
Wszyscy np. narzekamy na jakość chle-
ba w naszym mieście. Rozmawiamy z
firmą francuską, która chcemy zachęcić
do uruchomienia u nas produkcji pie-
karniczej. Rozmawiamy także z pewnym
przedsiębiorcą z RFN, który chce otwo-

żyć w Zielonej Górze nowo-
czesny super-market. Nie uja-
wniam szczegółów, bo rozmowy nadal
się toczą. Sądzę, że takich inicjatyw bę-
dzie więcej. Wiele zależy jednak od
umocnienia się stabilizacji w kraju.
Jedno jest pewne: nasz handel nie mo-

że się opierać nadal wyłącznie na dwu
organizacjach handlowych, choć jeszcze
niedawno, w trudnej kartkowej sytua-
cji, dobrze spełniły one swoją rolę.
Stąd zaakceptowaliśmy ofertę PGR w
Starym Strącu na otwarcie własnego
sklepu masarniczego w Zielonej Górze.
Warunek: w tym sklepie musi
się handlować bez przerwy w
czasie wyznaczonym dla handlu,
jeśli nie — zmieniamy
ofertę. Na podobnej zasadzie otwarty
będzie sklep pod patronatem PZZ przy
ul. Staszica (makarony, kasze). Chcemy
skutecznie poprawić strukturę handlową
w dużych osiedlach mieszkaniowych,
zwłaszcza na Pomorskim. Za symbolicz-
ną opłatą dajemy tereny pod budowę
pawilonów handlowych. Nie licząc indy-
widualnych inicjatyw, zgłosiły zainte-
resowanie m.in. GS Koźuchów, Igłopol,
Spółdzielnia Ogrodnicza. Za długo jed-
nak trwają dyskusje w sytuacji, kiedy
decyzje trzeba podejmować już dziś.
Chcemy też budować własne sklepy
komunalne. Do budowy pierwszego z

nich zamierzamy przystąpić już w przy-
szłym roku, o ile uzyskamy na ten cel
środki z Funduszu Rynku. Dla
doraźnej poprawy sytuacji zabiegamy o
niezbędne przegrupowanie sił i środków
w handlu.

— Może skończy się kiedyś koczmar
zamkniętych sklepów z powodu choroby
personelu, lub działających w ograni-
czonym czasie.

— To wymusi ekonomia, konkuren-
cja, przełamanie starych przyzwyczai-
eń i fałszywych, nie mających nic
wspólnego z handlem, „zdobyczy socjal-
nych”. Handel musi służyć ludziom.
Stąd też już połowa sieci handlowej
czynna jest w wolne soboty, są już
pierwsze sklepy otwarte także w niedzie-
łę. Ale to przecież daleko nie wszyst-
ko. Wierzę, że korzystne zmiany będą
następować, bo takich zmian oczekuje
społeczeństwo. Zmierzamy w kierunku
pełnej samorządności, w której włas-
ność komunalna odgrywać będzie coraz
większą rolę, będzie stanowił też źró-
dło finansowania działań administracji
miejskiej służącej społeczeństwu. Oczywiście — wymaga to gruntownych
zmian stosunków ekonomicznych, finan-
sowych, własnościowych. Jest to sprawa
procesu, który już się rozpoczął.

— I za pomyślność którego spełnić
można Winobranioowy toast.

Rozmawiał

WIESŁAW NODZYŃSKI



Osiedle Wazów

FOT. CZESŁAW LUNIEWICZ



POWRÓT KLEMA

Klemens Felchnerowski — popularny
Klem, zmarły w 1980 r. artysta, dziś
jest już postacią niemalże legendarną.
Zapisał się w najnowszych dziejach
Zielonej Góry przede wszystkim jako
przedstawiciel cyganerii artystycznej,
wzbyty przesadą i konwenansów spa-
dkobierca młodopolskiej bohemy. Sposób
i styl życia, wypowiedzi artysty, z cza-
sem podbarwione i utrwalone w ane-
gdotach — oto zasadnicze czynniki le-
gendotwórcze.

Wspomnienia tych, którzy znali go
osobiście, pozbawione są tej jednostron-
ności osądu. Oto fragment wypowiedzi
Wiesława Myszkiewicza, długoletniego
dyrektora Biura Wystaw Artystycznych
w Zielonej Górze:

„Przez długie lata był człowiekiem za-
rady, dowcipu, szalonych pomysłów i
akim przede wszystkim Go pamięta-
my. Jakoś nie możemy sobie uświadomi-
ć, że był to równocześnie człowiek
wyjątkowo pracowity, pisały go gazety
artykuły na temat odkryć geograficz-
nych poczynszu, poprzez konserwator-
stwo i sztukę ludową, prace naukowe
z zakresu układów przestrzennych i
architektury, kończyłszy na układaniu
krzyżówek i logorytmów”.

Lista dziedzin, którymi się artysta
zajmował, nie jest zamknięta. Dowo-
dem na to jest wydany przez Muzeum
Ziem Lubuskiej w Zielonej Górze to-
mik wierszy Klemensa Felchnerowskie-
go. Powraca więc Klem po latach w zu-
pełnie nowym, nieznanym dotąd wciele-
niu — jako poeta. Poezja była niejako

dotąd do zasadniczego trzonu twórc-
zości, do malarstwa.

Bardzo znaczący jest już sam tytuł
zbiorku — „Śpiewnik malarza”. Sądzę,
że w zamierzeniu artysty miał on na-
sować dwójakiego rodzaju refleksje. Po
pierwsze, miał być pewnego typu uspra-
wiedliwieniem (zapewne także przed sa-
mym sobą) faktu, że człowiek, którego
właściwym powołaniem jest malarstwo,
próbując swych sił w tak innej i trudnej
domenie twórczości, jaką jest poezja,
po drugie zaś tytuł tomiku przygotowuje
nas na zetknięcie się z wyobraźnią
poetycką... malarza.

Daje Klem w swojej poezji bardzo
własne, osobiste, niekiedy wręcz intym-
ne spojrzenie na otaczający świat —
ludzi, zdarzenia, przyrodę, architekturę.
Jest to (czego każde domyślać się tytuł
tomiku) spojrzenie specyficzne — rze-
czywistość oglądana oczyma plastyka,
malarza, historyka sztuki. Stąd charak-
teryistyczne dla tych wierszy bogactwo
odcieni, kolorów, kształtów, form archi-
tektonicznych. W poezji Klema mamy
do czynienia nie tyle z opisem, co z
malarską wizją rzeczywistości:

Księżyc — ten błąd nasz ziemski
giermek
Okiem wyblakłym patrzy przez okno
Światłem otwiera pokój wziernik
Pokój skąpany w tym świetle moknie
(„Poezja grudniowa”)

Pisane w różnych okolicznościach,
miejscach i o różnych porach dnia i
roku (informują nas o tym podpisy pod
tekstem np. Warszawa „Bristol” 7.XII.
1955, g. 2-3 w nocy, wiersz „Moja mi-
łość”), są wiersze Klema zapisem prze-
żytych i doświadczonych ich autora. Utrwa-
la w nich wrażenia chwili, przelotne na-
stroje i odczucia, jak choćby w wierszu
„Poezja grudniowa”, opatrzone datą
29.XII.1955 i uzupełniony wyjaśnie-
niami: „słuchając Gershwna „Porgy and
Bess”. W tym wypadku czar grudniowe-
go wieczoru rozjaśnionego światłem
księżycą, obecność kobiety, muzyka
Gershwna złożyły się na niepowtarzal-
ną atmosferę, którą zapragnął artysta
uwiecznić w wierszu.

Umiał Felchnerowski, o czym świad-
czy jego poezja, dostrzec i docenić uro-
ki życia. Był wyrazicielem przekonania,
że w naszej zagłębie, pełnej trosk
codziennosci, nie można zagubić umie-

jętności cieszenia się chwilami niosącej
mi spokój i harmonię:

Pędzisz przez życie zżerany szaleem
Cudaczny łukiem to orbicie cierpień.
Stój nieszczęśliwy! Ja też cierpiełem —
Przecież na świecie jest jeszcze
sierpień.

(„Czterowiersz (II)”) —

Zachwył nad pięknem kłobociego cia-
ła, upojenie szczęściem, jakie daje mi-
łość — to najczęstsze motywy liryki
Felchnerowskiej (vide wiersze: „Apo-
teoz”, „Czterowiersz (I)”, „W parku”,
„Warkocz”, „Odkrycie”, „Moja miłość”,
„Romans”, „Biega wiatr”). Nie pozosta-
wał poeta obojętny także na malowniczość
krajobrazu okolicy i zakątków
miasta, w którym spędził wiele lat ży-
cia (wiersze: „Pejzaż”, „Ratusz z rynku
zielonogórskiego”).

W „Śpiewniku malarza” pojawiają
się również utwory o zupełnie odmienn-
ej tematyce. Ujawnia się w nich dra-
mat artysty malarza świadomego swo-
jej wartości, a jednocześnie boleśnie
odczuwającego status twórcy prowincjo-
nalnego, niedocenianego:

Chowałem w czterech ścianach
Malarski swój almanach
(...)
W pracowni gdzieś zapadł
W pracowni zagubionej
(„Pablo Picasso”)

Myślę, że warto sięgnąć po tomik
wierszy Felchnerowskiego, choćby ze
względów na interesującą możliwość
skonfrontowania treści, jakie niesie je-
go twórczość malarska (okazuje do rze-
pazowania się z nią daje nam Muzeum Zi-
mi Lubuskiej, które prezentuje retro-
spektywną wystawę prac Klema) i po-
etycką.

Jak na „Śpiewnik malarza” przysta-
ło i w samym zbiorze nie mogło zabrak-
nąć elementu plastycznego — są nim
drzeworyty Klema stanowiące ciekawą
uzupełnienie do jego wierszy.

ANNA M. STENCEL

Klem Felchnerowski: Śpiewnik malarza.
Wyd. Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zie-
lonej Górze, 1989 r. Nakład 100 + 30 egz.
Słowo wstępne Jan Muszyński. Ilustracje:
drzeworyty Klema Felchnerowskiego.

Pewnego dnia jakiś chłopak wrócił z grzybobrania z wieścią, że przy torach znaleziono młodą Żydówkę. Żył, miała tylko zwichnięte ramię i sporo sińców. Domyślano się, że wyskoczyła przez dziurę w podłodze, kiedy pociąg zwoził na zakręcie, i dlatego uniknęła poważniejszych obrażeń.

Wszyscy pobiegli obejrzeć ten fenomen. Dziewczyna szła kulejąc, na wpół niesiona przez kilku mężczyzn. Jej szczupła twarz, o gęstych brwiach i niezwykle czarnych oczach, była bardzo blada. Długie, lśniące czarne włosy, przewiązane wstążką, spadały na ramiona dziewczyny. Sukienkę miała porwaną, widziałem sińce i zadrapania na białym ciele. Zdrową ręką pod trzymawała bolącą.

Mężczyźni zaprowadzili ją do chaty sołtysa. Zgromadził się tłum ciekawskich, którzy przyglądali się uważnie dziewczynie. Najwyraźniej nie rozumiała ich mowy. Gdy ktoś się do niej zbliżał, składała ręce jak do modlitwy, szwargocząc coś w obcym języku. Przerażona, rozglądała się wokół oczami o błękitnawych blaskach i czarnych jak smoła tęczęwkach. Sołtys naradzał się z wiejską starszą i z Tęcią, chłopcem, który znalazł dziewczynę. Zdecydowano, że zgodnie z rozporządzeniem Niemców, zostanie nazajutrz oddawiona na posterunek.

Wieśniacy wolno rozbuchali się do chałup. Tylko kilku odważniejszych wciąż tkwiło w miescu, przypatrując się dziewczynie i żartując. Na wpół ślepe sturuchy spływały po trzykroć w jej stronę, i burząc pod nosem, ostrzegali przed nią wnuków.

W końcu Tęcza ujął dziewczynę za ramię i zabrał do siebie. Chociaż niektórzy uważali go za dziwaka, był lubiany w wiosce. Interesowały go bardzo różne zjawiska niebieskie, a zwłaszcza tęcza, czemu zawdzięczał swoje przeżycie. Wieczorami, kiedy podejmował sąsiadów, godzinami umiał o nich opowiadać. Stuchając go z ciemnego kąta izby, dowiedziałem się, że tęcza to długa, wygięta w łuk łodyga, pusta w środku jak słomka. Jeden jej koniec, zanurzony w rzecę lub jeziorze, wssysa wodę, która następnie rozprzeczona jest sprawiedliwie po całej okolicy. Wraz z wodą wciąga także ryby i inne wodne stworzenia; dlatego właśnie w odległych od siebie jeziorach, stawach i rzekach znajdują się ryby tych samych gatunków.

Tęcza był sąsiadem mojego gospodarza. Jego stodoła i ta, w której miałem swoje legowisko, przylegały do siebie. Żona Tęczy umiała przed kilkoma laty, lecz on, choć wciąż młody, nie mógł zdecydować się na nową towarzyszkę. Sąsiedzi powiadali, że ten, kto zbyt długo wpatruje się w tęczę, nie widzi dobrej dupy, kiedy ma ją przed nosem. Posiłki gotowała mu pewna stara baba, która również zajmowała się jego dziećmi, kiedy pracował w polu lub raz na jakiś czas upijał się dla przyjemności.

Żydówka miała nocować w zagrodzie Tęczy. Wieczorem zbudziły mnie hałasy i krzyki dochodzące z sąsiedniej stodoły. W pierwszej chwili przeraziłem się. Ale znalazłem dziurę po sęku, przez którą mogłem obserwować, co się tam dzieje. Pośrodku zamiecionego klepiska leżała na stercie worków dziewczyna. Obok niej, na pieńku, płonęła lampa naftowa. Tęcza siedział przy głowie dziewczyny. Oboje tkwili nieruchomo. Nagle Tęcza chwycił sukienkę dziewczyny i szarpnął mocno. Ramiączko puściło. Dziewczyna spróbowała uciec, ale Tęcza ułaskawił jej w włosach, unieruchamiając kolanami głowę. Pochylił się i zerwał drugie ramiączko. Dziewczyna zaczęła szlochać, ale nie szamotała się.

Tęcza przełożył się do stóp Żydówki i, siadając jej na nogach, brutalnym ruchem zdart z niej sukienkę. Dziewczyna usiłowała się podnieść i zdrową ręką przytrzymać materiał, ale chłop pchnął ją z powrotem na klepisko. Była teraz całkiem naga. Jej piersi pulsowały w migoczącym blasku lampy naftowej.

Tęcza przysiadł obok dziewczyny i potężnymi łapskami zaczął gładzić ją po ciele. Zwalista sylwetka mężczyzny zastaniała mi twarz Żydówki, styszałem jednak cichy szloch, od czasu do czasu przerywany krzykiem. Tęcza ściągnął po woli buty z cholewami i portki, pozostawiając tylko w zgrzebnej koszuli.

Siadł okragiem na nieruchomej dziewczynie i zaczął wodzić łagodnie rękami po jej ramionach, piersiach, brzuchu. Kiedy jego ruchy stawały się bardziej szorstkie, jęczała i kwiliła, wołając coś w swojej osobliwej mowie. Tęcza dyszał głośno. Wsparty na łokciach, przesunął się nieco w dół, po czym jednym gwałtownym szarpnięciem rozchylił nogi dziewczyny i opadł na nią z taką siłą, że klepisko aż zadudniło pod jego ciężarem.

Ciało Żydówki wygięło się w łuk; krzyczała, zaciskając i prostując palce, jakby chciała się czegoś chwycić. Nagle wydarzył się coś dziwnego. Tęcza wciąż leżał na dziewczynie, pomiędzy jej udami, ale teraz jakby usiłował powstać. Ilekroć jednak się unosił, wyla z bólu; on także stękał i przeklinał. Próbował się oderwać od jej kroczka, ale najwyraźniej nie mógł. Jakaś obca siła wewnątrz niej trzymała go mocno, niczym potrzask szaraka lub lisa.

Przez chwilę Tęcza leżał na dziewczynie, gwałtownie dygocząc. Po czym ponowił wysiłki, lecz za każdym razem dziewczyna skreślała się z bólu. On chyba też cierpiał. Ocieierał pot z czoła, przeklinał, spłynał. Przy kolejnej próbie dziewczyna starała się pomóc. Rozchyliła szerzej nogi, uniosła biodra i zdrową ręką pchała własny brzuch. Wszystko daremnie. Niewidzialne powróciło szczyptało ich razem.

Często widywałem, jak to samo dzieje się z psami. Czasem, po gwałtownym spółkowaniu, nie mogły się rozłączyć, choć ze wszystkich sił pragnęły oswobodzenia. Mocowały się z bolesną uwiercją, coraz bardziej odsuwając się od siebie, aż w końcu stykały się tylko zadami. Wyglądały jak jedno ciało o dwóch głowach i dwóch zrosniętych ogonach. Z przyziemia człowieka przemieniały się w wybrzyk natury. Wyły, skamlały, dygotały na całym ciele. Ich przekrwione ślepią, błagając o ratunek, patrzyły z niewysłowionym bólem na ludzi, którzy składali je grabiami i kijami. Tarzając się w kurzu, zakrwawione od razów, wciąż wznowiały próby rozdzielenia. Chłopi, zaśmiewając się, kopali psy, ciskali w nie kamieniami, rzucali im na grzbiety mianujące koty. Psy starały się uciec, ale każdy z nich biegał w przeciwną stronę, więc tylko kreśliły się w kółko. We wścieklej furii usiłowały się gryźć. Wreszcie rezygnowały z wszelkich wysiłków i czekały na pomoc człowieka.

Wyrostki wrzucały je do rzeki lub jeziora. Psy rozpaczliwie próbowały utrzymać się na powierzchni, ale każdy płynął w przeciwną stronę. Były zupełnie bezradne; nie miały nawet siły szczeleć, i toczące pianę pyski coraz rzadziej wyłaniały się z wody. Prąd znosił zwierzęta w

dół rzeki, a brzegiem postępowali rozbawiony tłum, pokrzykując z radości i miotając kamieniami w iby wynurające się z wody.

Czasami z kolei wieśniacy, którzy nie chcieli stracić w ten sposób dobrej sukni, bezlitośnie odcinali ją od samca, skazując go na trwałe kalectwo lub powolne wykrwawienie i śmierć. Zdarzało się też, że psy, które przez wiele dni błąkały się zrosnięte po okolicy, wpadając w rowy, objając się o ploty, płacząc się w zaroślach, wreszcie same się rozłączyły.

Tęcza ponowił wysiłki. Wzywał głośno na pomoc Najświętszą Panią. Dyszał i sapał. Jeszcze raz szarpnął się potężnie, usiłując oderwać się od dziewczyny. Wrzasnęła i zaczęła bić zaskoczonych chłopca pięścią po twarzy, drapać paznokciami, gryźć w dłoń. Tęcza zliział krew z warg, uniósł się na jednym ramieniu i drugą ręką rąbnął dziewczynę na odlew. Strach najwyraźniej pomieszał mu zmysły, bo opadł na nią, gryząc ją w piersi, w ramiona, w szyję. Okładał Żydówkę kulakami, a nagle zacisnął palce na jej ciele i począł ją targać, jakby chciał rozerwać na strzępy. Dziewczyna zawyla; wysoki, nieprzerwany ryk trwał, dopóki nie zabrakło jej tchu, po czym zaraz rozległ się szloch. Tęcza walił ją i walił, aż w końcu zabrakło mu sił.

Leżeli bez ruchu i w milczeniu. Tylko migoczące płomienie lampy drgał bezustannie.

Tęcza zaczął wzywać pomocy. Jego okrzyki sprowadziły najpierw sforę ujadających psów, a potem gromadę zaalarmowanych mężczyzn uzbrojonych w siekiery i noże. Weszli do stodoły i, nic nie rozumiejąc, wybaluszili oczy na widok

minował mnie w ten sposób i w końcu dał spokój.

Jego syn, Anton, miał dwadzieścia lat. Był to rudzielec o bladej cerze i powiekach bez rzęs. Wieśniacy stronili od niego tak samo jak od ojca. Ale nawet jeśli ktoś mówił coś do Antona, chłopak patrzył na niego obojętnie i szedł dalej bez słowa. Przeważała go Przepiórka, bowiem podobnie jak ten ptak odzywał się tylko sam do siebie i nigdy nie odpowiadał na głosy innych.

Córka, Ewka, o rok młodsza od Przepiórki, była wysoka, szczupłą blondynką o piersiach jak niedojrzałe gruszki i wąskich biodrach, które pozwalały jej się przecisnąć między sztachetami plotu. Ewka również nigdy nie zaglądała do wioski. Kiedy Makar i Przepiórka szli do sąsiednich osad sprzedawać króliki i królicze skórki, zostawała w zagrodzie. Czasami odwiedzała ją Anulka, miejscowa znachorka.

Ewki nie lubiano w wiosce. Wieśniacy powiadali, że ma kota w oczach. Wymyślali się z wola, które zaczynały jej zniekształcać szyję, z chrapliwego głosu, mówili, że krowy tracą mleko, kiedy się zbliża, i dlatego właśnie Makar hoduje tylko króliki i kozy.

Często słyszałem, jak wieśniacy szemrają między sobą, że dziwną rodzinę Makara powinno się przegnać z wioski, a ich zagrodę spalić.

Malowany ptak

Jerzy Kosiński



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Ale Makar nie przejmował się żadnymi pogrozkami. Zawsze nosił w rękawie długi nóż, którym potrafił rzucać tak celnie, że raz z odległości pięciu kroków przygwoździł do ściany karalucha. Z kolei Przepiórka trzymał w kieszeni ręczny granat, który znalazł przy zabitym partyzancie. Groził, że wysadzi nim wraz z całą rodziną każdego, kto będzie bruździł jemu, jego ojcu lub siostrze.

Zagrody Makara pilnował tresowany wilczur wabiący się Dydko. W szopach wokół obejścia stały rzędy króliczych klatek. Tylko druczana siatka oddzielała je od siebie. Króliki mogły się przez nią wachać i porozumiewać, a Makarowi wystarczył rzut oka, żeby ogarnąć wszystkie sztu ki.

Makar był doświadczonym hodowcą. W swoich klatkach miał wiele wspaniałych okazów, na jakie nie mogli sobie pozwolić nawet najbogatsi gospodarze. Posiadał także kozia i cztery kozy.

Opiekował się nimi Przepiórka; doł je, pędził na pastwisko, a czasami zamykał się z nimi w komórkę. Kiedy Makar wracał do domu po udanej transakcji, upijał się razem z synem, po czym obaj szli do kóz. Ewka napomknęła złośliwie, że dobrze się tam zabawiają. Przywiązywali wówczas Dydkę przy drzwiach obory, aby nikt nie mógł się zbliżyć.

Ewka nie znosiła ani brata, ani ojca. Czasami całymi dniami nie wychodziła z chaty z obawy, że Makar i Przepiórka zmuszą ją, aby spędziła z nimi resztę popołudnia w komórkę dla kóz. Ewka lubiła mieć mnie przy sobie, kiedy gotowała. Pomagałem jej obierać warzywa, przynosiłem drwa na opał, wynosiłem popiół.

Czasami chciała, żebym całował ją po nogach. Przytulałem się wtedy do szczupłych łydek i zaczynałem je pieścić, począwszy od kostek; delikatnie muskałem wargami i łagodnie gładziłem dłońmi napięte mięśnie, całowałem miękkie za-

głębienia pod kolanami, stopniowo posuwając się w stronę gładkich białych ud. Powoli unosiłem spódnicę. Dziewczyna poganiała mnie postukiwaniem w plecy, więc przesuwalem się do góry, całując i lekko szarpiąc zębami aksamitną skórę. Kiedy docierałem do ciepłego wzgórka, ciało Ewki poczynalo spazmatycznie drgać. Oddychając coraz szybciej, przebiegała gwałtownie palcami po moich włosach, głaskała mnie po szyi, szczypała w uszy. Wreszcie przyciskała mocno moją twarz do siebie, i po krótkim transie, padała na ławę, zupełnie wyczerpana.

Podobało mi się również to, co robiła ze mną później. Siadała na ławie, trzymając mnie między rozchyłonymi kolanami, tuliła i pieściła, całując po szyi i twarzy. Suche, podobne do wrzósów włosy spadały mi na twarz, kiedy spoglądałem w jasne oczy lub patrzyłem, jak szkarłatny rumieniec oblewa policzki, szyję i ramiona dziewczyny. Ponownie budziły się moje dionie i usta. Ewka zaczynała drżeć i sapać, jej wargi stawały się zimne, a drżące ręce przyciskały mnie do ciała.

Kiedy słyszełm, że wracają mężczyźni, Ewka szybko biegła do kuchni, poprawiając włosy i spódnicę, podczas gdy ja leciałem do klatek, nakarmić przed wieczorem króliki.

Później, gdy Makar i jego syn już spali, przynosiła mi kolację. Polykałem ją szybko, podczas gdy Ewka gładziła mnie zmysłowo po nogach, całowała po włosach i pospiesznie ściągala mi ubranie. Kiedy kładliśmy się obok siebie, przytulała się mocno, mówiąc, gdzie mam ją całować, gdzie ssać. Spełniałem wszystkie jej życzenia, nawet jeśli to, co kazała mi robić, było dla mnie bolesne lub niezrozumiałe. Ruchy Ewki stawały się coraz gwałtowniejsze; dygotała przede mną, po czym sama wsuwała się na górę, następnie znów kazała mi się kłaść na siebie, obejmowała mnie kurczowo nogami, drapała paznokciami po plecach i ramionach. Spędzaliśmy tak większość nocy, od czasu do czasu zapadając w drzemkę, a po przebudzeniu od nowa próbując zaspokoić wrzące w Ewce namiętności. Ciało jej było siedliskiem dziwnych wewnętrznych wstrząsów i napięć. Chwilami naprężało się jak królicza skórka, którą dla wysuszenia naciągnięto na deskę, po czym nagle znów się uspokajało.

Zdarzało się, kiedy Przepiórka zamykał się z kozami, a Makar jeszcze nie wrócił do chałupy, że Ewka w ciągu dnia odnajdywała mnie w jednej z szop z króliczymi klatkami. Przeskakiwałem razem przez plot i znikali pośród łanów pszenicy. Ewka, idąc na przedzie, wyszukiwała bezpieczną kryjówkę. Popędzała mnie, żebym szybciej się rozdzielał, niecierpliwie szarpając moje ubranie, po czym kładłm się na szorstkiej słomie. Rzucałem się na Ewkę i starałem się zaspokoić jej przeróżne zachcianki, podczas gdy nad nami kołysały się ciężkie kłosa, niczym fale na spokojnym morzu. Ewka często zasypiała na parę chwil. Wówczas rozglądałem się po złotym oceanie pszenicy, przypatrując się muchochom mięsnym bzykającym niemirowo w promieniach słońca. Jaskółki obiecywały dobrą pogodę swoim kunsztownym lotem. Motyle uganiały się beztrosko dookoła, a samotny jastrząb, zawieszony wysoko na niebie znak wiecznego zagrożenia, wypatrywał naiwnego gołębia.

Czułem się bezpieczny i szczęśliwy. Ewka poruszała się przez sen, a jej dłoń, rozchyłając żdźbła, odruchowo szukała mojej. Podcołgiwałem się do dziewczyny, wsuwałem między jej nogi i zaczynałem znów ją całować.

Ewka chciała zrobić ze mnie mężczyznę. Odwiedzała mnie w nocy i laskotała w kroczek, wsuwała mi do środka słomki, co było dość bolesne, pieściła ręką lub lizła. Działo się ze mną coś dziwnego, czego dotąd nie znałem i na co nie miałem wpływu. Moja reakcja była jak paroksyzm, niespodziewana i nieregularna, raz szybsza, raz wolniejsza, ale wiedziałem, że tego nowego doznania nie powstrzyma.

Kiedy Ewka, mrucząc przez sen, zasypiała u mojego boku, zastanawiałem się nad tymi sprawami, wsluchany w chrobotanie dochodzące z otaczających nas klatek.

Dla Ewki gotów byłm uczynić wszystko. Zapominałem o swoim losie cygańskiej niemowli skazanej na śmierć w płomieniach. Przystałem być chochlikiem, z którego naśmiewały się pastuchy, rzucającym uroki na dzieci i zwierzęta. W snach przeistaczałem się w wysokiego, przystojnego mężczyznę o jasnej cerze i niebieskich oczach, a włosach pływających jak jesienne liście. Stawałem się niemieckim oficerem w obcisłym czarnym mundurze. Albo łowcą ptaków znającym wszystkie sekretne przejścia przez lasy i bagna.

W snach moich żrących dionie rozbudzały w wielkich dziewczynach gwałtowną namiętność, przemieniając je w rozpustne Ludmiły, które uganiały się za mną po ukwieconych łąkach, kładły się ze mną na kępek dzikiego tymianku lub pośród poletek lubinu.

Przywierałem w snach do Ewki, łapiąc ją jak pajaka, oplatając wokół niej więcej nóg, niż posiada stonoga. Wrastałem w jej ciało jak nieduża gałązka zaszczerpiona na roście jabłoni przez wprawny ogrodnik.

Powtarzał się także inny sen, który przynosił całkiem odmienną wizję. Ewki próby zrobienia ze mnie dorosłego mężczyzny skutkowały natychmiast. Jedną część mojego ciała rosła błyskawicznie, przemieniając się w monstrualny, ogromny pał, podczas gdy reszta pozostawała niezmieniona. Byłem ohydny wybrzykiem natury; siedziałem zamknięty w klatce, ludzie zaś przyglądali mi się przez prety, śmiejąc się w podnieceniu. Przez tłum szła do mnie Ewka i łączyłm się w groteskowym uścisku. Stawałem się potworną naroślą na jej gładkim ciele. Wiedza Anulka czyhała w pobliżu z ogromnym nożem, gotowa odciąć mnie od dziewczyny, okaleczając okrutnie, a ochlap ciałem mrówkom.

Głosy rozbzmiewające o świecie kładły kres tym koszmarom. Kury gdały, koguty pęły, głodne króliki tupwały w klatkach, a Dydko, rozłoszczony hałasami, zaczynał warczeć i ujadać. Ewka ukradkiem wracała do chałupy, a ja oddawałem królikom siano nagrane przez nasze ciała.

(CDN)

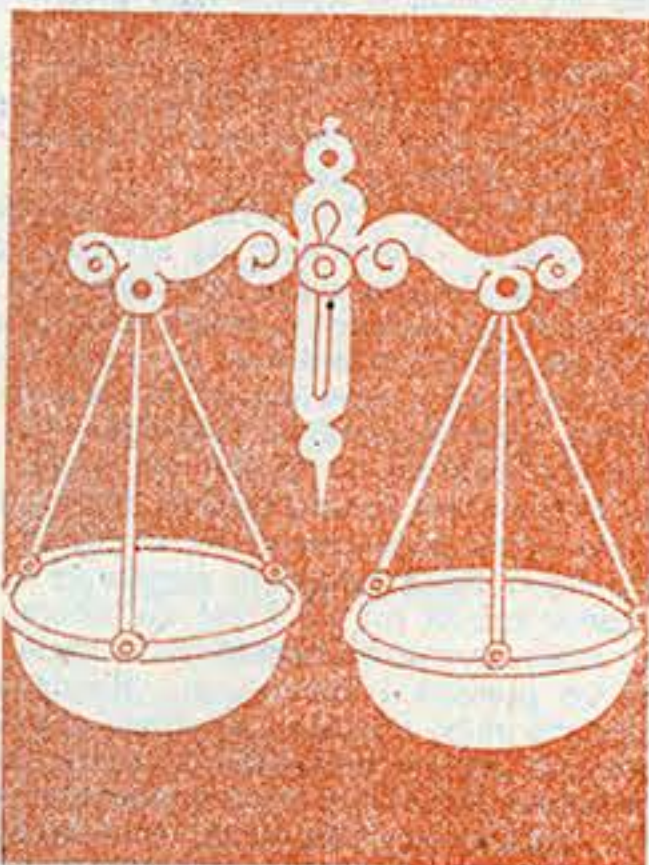
(Fragmenty powieści pt. „Malowany ptak”, w przekładzie Tomasza Mirkowicza, przytaczamy za wydaniem S.W. „Czytelnik”, Warszawa 1993 r.)

Dzieci KOSMOSU

Chwila, w której człowiek się rodzi, jest bardzo ważna, toteż powinna być zapisana precyzyjnie, co do sekundy. Miejsce oraz dokładny czas narodzin stanowi podstawę do obliczenia i zbudowania horoskopu. Prawdziwy horoskop sporządzić może wyłącznie specjalista, wykształcony w astrologii oraz umiejący łączyć elementy wiedzy astronomicznej, biologicznej, medycznej i psychologicznej.

„Horoskopy” popularnie drukowane w gazetach i czasopiśmie należy traktować jako zabawę. Nasz „horoskop” opracowany został na podstawie kilku współczesnych książek o tematyce astrologicznej. Przedstawia najważniejsze cechy człowieka związane z jego przysięciem na świat. Z konieczności jest skróty i ogólny: bierze bowiem pod uwagę nie całą datę urodzenia, lecz tylko miesiąc. Kto chce, niech czyta i wierzy!

Tym osobom, które wszelkie horoskopy uważają za coś grzesznego, pragnę przytoczyć słowa świętego Tomasza z Akwinu: „Różnice płci, konstytucja ciała i charakter indywidualny zależne są od gwiazd”.



Panie spod znaku wagi

Urodziłaś się w okresie od 24 września do 23 października, gdy zmęczona upałami ziemia wraz z całą przyrodą wyczerpana rodzeniem, wprowadzając się powoli w stan błogiego spoczynku. Na przeogromnym, niebieskim Zodiaku świeci dla Ciebie znak Wagi, podległy planecie, której nazwa jest imieniem rzymskiej bogini piękności Wenus. Waga wraz z Bliźniętami i Wodnikiem, tworzą wspólnie Trygon Powietrzny. Twoim żywiołem jest więc Powietrze.

Masz sporo szczęścia! Spłynęło na Ciebie w sposób naturalny co najmniej kilka cech, o które doremnie zabiega wiele kobiet jak: wdzięk, bezpretensjonalność, artystyczny gust, sympatyczny sposób bycia. Wszystko to masz wrodzone. Posiadając takie skarby, nie musisz już mieć urody. Ale pani Wenus — Twoja patronka, dba o wszystko swe podopieczne. Kobiety spod znaku Wagi na ogół wyróżniają się urodą, elegancją, dobrą prezencją.

Mają rozwinięte poczucie partnerstwa i zazwyczaj bywają zgodnymi, układnymi żonami oraz oddały koleżankami. Dochowują wierności w sprawach serca — dopóki miłość trwa, i przyjaźni — dopóki trwają wzajemne kontakty. Są dobrymi, czuлыми i wyrozumiałymi matkami.

Z paniami urodzonymi pod Wagą w ogóle trudno się sprzeczać, nie mówiąc już o kłótniach i gniewie. Wykazują one bowiem nieograniczoną tolerancję wobec postępowania, zachowania i poglądów innych osób. Jednak mając tyle pozytywnych cech kobiety spod znaku Wagi rzadko ko wybijają się ponad przeciętność. Dlaczego? To proste. Ponieważ są powolne, leniwe i niezdeterminowane. Zatapiają się w marzeniach, wykazując kompletny brak chęci do jakiegokolwiek czynu. A wiadomo, że samymi marzeniami i samym gadaniem — nawet najpiękniejszym, niczego się nie osiągnie.

Waga czasem tak długo waha się przed podjęciem decyzji, że w końcu na wszystko jest już zbyt późno. Odbija się to na jej sprawach zawodowych i osobistych. Jak ta twoja nawiązuje kontakty z ludźmi, tak samo łatwo je rozwiązuje jednym cięciem, bez łez i skrępowań. I natychmiast nawiązuje nowe! Bywa więc że mając wielu adoratorów równocześnie, ta naprawdę nie ma żadnego, to znaczy tego jednego, bliskiego, od danego, na życie całe lub jego kawałek.

Wenus obdarzyła Cie uosobieniem pogodnym. Cieszysz się opinią kobiety towarzyskiej, umiejącej prowadzić rozmowę i bawić gości. To właśnie paniom spod znaku Wagi często zdarza się mi-

łość od pierwszego wejrzenia, z wrażliwością. To właśnie te panie częściej niż inne, nawiedzane są przez miłość — burzę, miłość — huragan, krótką, ale powodującą wstrząsy. Również te panie lubią popadać w samouwielbienie i tracą stosunek krytyczny do siebie. „Taka jestem uroczą, taka czarującą, że wszystko mi wypada!” I robią to, co nie wypada i nie przystoi, ponieważ Wenus działając destrukcyjnie, skłania je do niemoralności, zaniedbania, nawet niechlujstwa. Pała, pią, tyja. Są niekiedy przedziwną krzyżówką sentymentalizmu i wulgarności, skrywanej — lub, co gorsze, nie dającej się skryć nawet przy pomocy pozycji społecznej, wykształcenia, stroju, makijażu itp. Co wiąże się z urodzeniem pod znakiem powietrznym? Otóż wiąże się rzadkie zalety: bystrość umysłu, intelekt, wyobraźnia, zdolność do abstrakcyjnego myślenia. Podczas, gdy Bliźnięta reprezentują racjonalność i studiowanie zjawisk, Wodnik intuicję i inwencję, to Waga niesie przede wszystkim zamilowanie i za interesowanie w ramach szeroko pojętego artystyzmu.

Wśród kobiet często zmieniających partnerów oraz rozwódek przez wąż podobno panie spod znaku Wagi (i Raka), Waga jest bowiem kochliwa, ale niezdeterminowana (zaś Rak — znak wodny, o którym już pisałam, jest zmienny i kapryśny). Jak widać, łatwość w kontaktach z ludźmi, tolerancja, kompromisowość i wdzięk, zdawałoby się tak przydatne w miłości, mogą też życie utrudniać i komplikować.

Kobiety „powietrzne” dobrze czują się z mężczyznami „ognistymi”, czyli urodzonymi pod znakami Barana, Lwa i Strzelca, w Żywiole Ognia. Ogień i Powietrze nawzajem się uzupełniają i są sobie potrzebne. Bez powietrza ogień nie zapłonie! Wprawdzie duża ilość powietrza może uczynić płomień wielkim i groźnym. Ale jeśli regulują go czynniki ludzkie (a takie przecież bierzemy pod uwagę), niebezpieczeństwo nie zajdzie.

Ogień potrafi wpływać na powie: zmieniać jego temperaturę i wprawiać go w ruch. Można to tłumaczyć, jako pożyteczną siłę inspirowaną. Znaki ogniste inspirować znaki powietrzne, z czego rodzi się po winny ideał twórczy i korzystne.

Dobry będzie też mariaż Powietrza z Ziemią (Byk, Panna, Koziorożec). Przed siecią ziarna należy głębiej spulchnić, czyli wprowadzić do niej powietrze, Ziemią w zamian nasycąc powietrze zapachami. Siły są nierówne: lekkie i lotne Powietrze może łatwo przetrząść z silną i ciężką Ziemią. Ale znowu odwołajmy się do harmonii dusz i serc, nieodzownej przecież w każdym związku.

Odradzałabym paniom z Żywiołu Powietrza łączyć się z paniami z tego samego żywiołu. Inaczej mówiąc — droga Wago, wystrzegaj się mężczyzn pod znakami Wagi, Bliźniąt i Wodnika. Nieco lepsze, ale też nie należy czekać na prognozy dające związek Wagi z Rakiem, Skorpionem i Rybami, czyli osobami z zasięgiem żywiołu Wody.

Dla tych, którzy urodzili się w obrębie wpływu planety Wenus, najszybszym dniem jest piątek. Do piątku więc odkładaj ważne sprawy. Los kupiony w piątek może dać wygraną. Pod znakiem Wagi urodzili się dwaj wielcy kompozytorzy: Franciszek List i Karol Szymanowski, tak że założyciel zespołu „Śląsk” Stanisław Hadyna, pianistka i pedagog Regina Smendzianka, francuski piosenkarz Gilbert Beaudou i zachodni niemiecki Udo Jürgens, jeden z czterech „Beatlesów” — nieżyjący już John Lennon oraz aktorka Brigitte Bardot. Jeśli nasze informacje są prawdziwe, to pod znakiem Wagi — 29 września 1943 roku, urodził się Lech Wałęsa.

W następnym numerze „Nadodrza” odcinek „Dzieci Kosmosu” przeznaczony będzie dla panów urodzonych pod znakiem Wagi.

EWA FOSS

Kiedy dobiegał trzydziestki, nie było już dla niego miejsca w II-ligowym Stilonie Gorzów. W USA występuje ósmy sezon i ciągle reprezentuje dużą klasę sportową. Ten wszechstronny i przede wszystkim skuteczny piłkarz (zdobywca największej ilości bramek w dziejach Eagles) zostawił tu w cieniu wielu zawodników o głośniejszych w Polsce nazwiskach. Mimo propozycji z innych nowojorskich klubów, wierny jest swojej polonijnej drużynie... Tak o Andrzeju Wierzbickim powiedział Andrzej Baj, były piłkarz Stali Kraśnik, obecnie zawodnik Eagles, a jednocześnie krynkarz klubu, i jego... rzecznik prasowy.

GDZIE GRA WIERZBICKI?

Andrzej Wierzbicki już w kraju zyskał sobie miano piłkarza nietuzinkowego, toteż jego zniknięcie ze składu Stilonu Gorzów nie mogło przejść niezauważone przez kibiców. Wkrótce, poszła fama, że wyjechał do Stanów. Wiść ta nie była plotką. Od trenera Stanisława Adamskiego dowiedziałem się, że „Szczepan” — jak go nazywali koledzy — nie zrezygnował w Ameryce ze swej wielkiej pasji, czyli piłki nożnej.

Informacje o polskich piłkarzach w USA pojawiają się w naszej prasie bardzo sporadycznie. Kiedy zatem Andrzej Wierzbicki gościł niedawno w kraju po

rozegraniu bardzo dużo meczów w barwach Stilonu. Nie wiem dlaczego, ale szczególnie utkwiło mi w pamięci spotkanie z silnym wówczas Bałtykiem Gdynia. Strzeliłem mocno z odległości 35 metrów. Bramkarz Zakrzewski nie był w stanie piłki złapać. Odbił się od niego, a tam już czekał Konrad Krasowski i zdobył zwycięskiego gola. Dziś z „Krasym” gramy razem w Stanach.

W 1980 r. kibiców zaskoczyła wiadomość, że będący w pełni sił piłkarskich 30-letni Wierzbicki wypadł z ligowego składu Stilonu.

— Doszło do nieporozumień z ówczesnym zarządem sekcji piłkarskiej. Wyjechałem, ze zdaniem tych ludzi nie jestem już potrzebny w drużynie, chociaż miałem szczerą chęć nadal bronić barw klubu. Postanowiłem spróbować piłkarskiego szczęścia gdzie indziej. Pojawiała się możliwość wyjazdu i gry w USA. Tak znalazłem się w Polish-American Eagles... Czas leczy rany. Z wielkim sentymentem wspominam dziś część swego życia spędzoną w Gorzowie.

PRZED WSZYSTKIM POLONIA

Polish-American Eagles wspierany jest głównie przez miejscową Polonię, chociaż po ostatnich sukcesach drużyny sponsorów jest coraz więcej — choćby wielka amerykańska firma „SPS —

reprezentant Polski Adam Nawalka (Wisła Kraków) a wcześniej był A. Muś z „srebrnej” drużyny Kazimierza Górskiego.

Ostatnimi czasami do Orłów dotarł również Dariusz Czerniawski, który w Polsce grał m.in. w Celulozie Kostrzyn, a jest rodem z Choszczna, gdzie zaczynał piłkarską karierę w Grunwaldzie.

SOCCER, CZYLI PIŁKA NOŻNA PO AMERYKAŃSKU

Piłka nożna w naszym wydaniu, późno stała się znana w USA — opowiada Wierzbicki. — Kiedy przyjechałem tam w 1981 r., na mecze Cosmosu Nowy Jork przychodziło po 70—80 tysięcy widzów. Nie brakowało wielkich gwiazd, ścigających z Europy i Ameryki Południowej. Pele, Beckenbauer, Neeskens, Mueller, Chinaglia... Świetnie grał też nasz Stanisław Terlecki.

Później zaczęło to podupadać. Gwiazdy, dożywając w USA piłkarskiej emerytury, tracili blask. Soccer starano się spopularyzować w Stanach zbyt szybko i zbyt sztucznie. Kibice czekali na coraz większe sławy piłkarskie, a tych było coraz mniej. Zaczęło z wysokiego pułapu. Nie wytrzymało konkurencji ze wszechwładnie panującymi tu hokejem, koszykówką czy baskebalem. Na mecze koszykówki przychodzi regularnie po 20 tysięcy widzów. Tak samo jest z hokejem. A mecze odbywają się w soboty. Po 80 spotkań w sezonie ligowym.

Jednak jest szansa, że piłka nożna znowu będzie bardziej popularna, bo właśnie w USA odbędą się następne — po turnieju „Italia-90” — finały piłkarskich mistrzostw świata. Przyznanie przez FIFA organizacji tej wielkiej imprezy Stanom Zjednoczonym wywołało gorące dyskusje. No, ale Amerykanie wiedzą, co robią. Już teraz widać staranne przygotowania i coraz głośniejszą reklamę. A wszystko to się nasili w miarę zbliżania się terminu mistrzostw. Z pewnością w 1994 r. cały świat będzie zdumiony poziomem organizacji, a na trybunach stadionów nie zabraknie kibiców.

PRACA I...

— Polonia nowojorska nie jest tak liczna, jak w innych częściach USA. Stąd też na nasze mecze przychodzi 300—400 widzów. Organizacyjnie piłka nożna jest u nas dobrze postawiona. W niektórych klubach w naszej lidze jest na wet półzawodowo. W moim klubie piłkarzom zapewnia się przede wszystkim pracę, pewną, dobrze płatną, taką dla piłkarza, by nie była nabytą wyczerpująca.

Andrzej Wierzbicki wraz z kolegami z drużyny pracuje w firmie jednego ze sponsorów klubu Polish-American

Z piłką na podbój AMERYKI

Krzysztof Holyński

raz pierwszy od chwili wyjazdu, była okazja porozmawiania o losach byłego piłkarza Pogoni Szczecin, Zastalu Zielona Góra i Stilonu Gorzów. „Wierzbę” — to też jeden z jego przydomków — wywodził w Nowym Jorku i do dziś gra w barwach polonijnego klubu Polish-American Eagles Yonkers.

Drużyna z Yonkers, stan Nowy Jork, obchodzi w tym roku 15-lecie istnienia. Nie ma zatem tak długich tradycji jak inne kluby polonijne w USA, na przykład — Wisła Chicago, Polonia Greenpoint czy Wisła Garfield. Tym niemniej dekada lat osiemdziesiątych to pismo sukcesów tego klubu a jego sala w „Polish Community” pełna jest trofeów, których ciągle przybywa.

ZACZEŁO SIĘ NA PODWÓRKU

Jak większość chłopców, Andrzej Wierzbicki przyszedł do piłki rozpoczynając na podwórku w rodzinnym Szczecinie. Stamtąd trafił do pobliskiego klubu Czarni. Grał dobrze, toteż po towarzyskim meczu z Pogonią Szczecin trener I-ligowców Eugeniusz Ksol zapytał Andrzeja: „Chciałbyś u nas spróbować?”. „Czemu nie...” — odrzekł 20-letni wówczas Wierzbicki. „To przyjdź”. Tak zaczął się w słynnej Pogoni. Początkowo przesiadywał na ławce rezerwowych, wchodził do gry na zmiany. Całe spotkanie w ekstraklasie rozegrał po raz pierwszy w Rzeszowie. Tylko zwycięstwo dawało Pogoni utrzymanie się w I lidze. Szczecinianie wygrali 4:3, a Andrzej zdobył jednego z goli. Od tego czasu miał stałe miejsce w pierwszym zespole Pogoni.

Po trzech latach przeszedł do Zastalu Zielona Góra. Później do Stilonu Gorzów. Bliżej stamtąd do Szczecina, ponadto powstawała tam bardzo ciekawa drużyna, a trenerem był... Eugeniusz Ksol. Działacze Zastalu niechętnie rozstawiali się z czołowym napastnikiem, toteż Wierzbicki musiał rok pauzować.

BEZ MARTWYCH SEZONÓW

Piłkarze z Yonkers, przedmieście wielkiego New York City, przed dwoma laty zdobyli w pięknym stylu amatorski Puchar Ameryki, a w ubiegłym roku mistrzostwo tzw. półzawodowej nowojorskiej superligi NESSL, która obejmuje swym zasięgiem stany Nowy Jork, New Jersey i Connecticut. Trzeba też wspomnieć o dwukrotnym zwycięstwie w rozgrywkach o Dr. Manning Cup oraz w wielkiej imprezie Brudwaiser Cup, które to trofea drużyna Andrzeja Wierzbickiego zdobyła trzy razy z rzędu i na własność.

Zespół Eagles praktycznie nie ma martwych sezonów, występując w licznych turniejach, czy to na powietrzu, czy w hali. Turnieje te stanowią duży zastrzyg dla klubowej kasy, ponieważ Orły stały się specjalistami w ich wygrywaniu. W imprezach takich, poza wspaniałymi pucharami, nagradza się zwycięzców premiami pieniężnymi. Samo zwycięstwo w superlidze NESSL przyniosło dochód w wysokości 10 tysięcy dolarów, co stanowi niebagatelną kwotę w budżecie polonijnego klubu.

GORZÓW WSPOMINAM NAJMILEJ...

— Okres gry w Stilonie wspominam jednak najchętniej — powiedział Andrzej Wierzbicki. — Stanowiliśmy zgranną paczkę. W każdym meczu graliśmy niemal trawę, żeby wygrać. Kibice tysiącami przychodzili na II-ligowe spotkania, a ze zwycięstw cieszyliśmy się wspólnie. Do dziś jestem wdzięczny za to gorzowski kibicom, bo byli naprawdę wspa-

ANDRZEJ WIERZBICKI

FOT. K. LIGOCKI



mocne podstawy finansowe i organizacyjne, a w drużynie znaleźli się zawodnicy, którzy potrafili grać w piłkę. Kadra zespołu liczy 18 zawodników. Oprócz tego istnieje zespół odtwojów oraz prowadzi się pracę z młodzieżą w klubie młodzieżowym „Dunwoodie Soccer Association”.

Kadra Orłów naturalnie jest bardzo zmieszana. Jedni wracają do Polski, inni tu przyjeżdżają, grając w klubie średnio 2—3 lata. Jest jednak kilku, którzy w Eagles występują dłużej. Obok Andrzeja Wierzbickiego ze Stilonu, największe uznanie miejscowych kibiców zdobyli sobie Jan Surowiec (dawniej Cracovia), Jan Mikulski (Pogoń Szczecin), Adam Musiał (Wisła Kraków), Franciszek Bocheniak (Arka Gdynia) i Mieczysław Gierwszewski (Bałtyk Gdynia) czy Henryk Janikowski (Górnik Wałbrzych). Warto dodać, że w ślady „Wierzbę” poszedł inny były piłkarz Stilonu — Konrad Krasowski i też jest jednym z najlepszych w drużynie. Trenerem zespołu jest były wielokrotny

Eagles. Przyczyna przydrożne drzewo przy pomocy wysocy specjalistycznego sprzętu.

— Zarabiam około 400 dolarów tygodniowo. Oczywiście, z tego opłacam mieszkanie, samochód, wyżywienie, ubranie itp. Jest to dobry zarobek, około 13 dolarów na godzinę, podczas przeciętnie pracownik w tej firmie zarabia 6.

Nikt nie zmusza nikogo do treningu. Rozumie się samo przez się, że trzeba solidnie trenować, by utrzymać miejsce w drużynie. Decyduje tylko praca i tę pracę dedykuję przy każdej okazji młodszym kolegom. Jeśli potrafi się być zdyscyplinowanym wobec samego siebie, to piłkarz może poradzić sobie wszędzie, również w USA.

Zyje mi się w Stanach zupełnie dobrze, choć jestem zwykłym, jedynym, piłkarzem, który zawędrował za Ocean. Nie da się jednak ukryć, że tęsknota bywa dokuczliwa. Fajna rzecz ta Ameryka, ale człowiek bardzo jednak ciągnie do własnego kraju...

13. IX - ŚRODA

PROGRAM I

- 8.10 Muzyka, kl. I - Co słyszysz?
- 8.35, 10.35 „Domator”
- 8.50 „Domowe przedszkole”
- 9.25 „I pójde aż na koniec świata” - film fab. prod. CSRS
- 12.00 Spotkania z literaturą, kl. VIII - Leon Kruczkowski - „Niemy”
- 12.50 Spotkania z literaturą, kl. III lic. - Henryk Ibsen - „Dzika kaczka”
- 13.30 TTR - Prod. rośl., sem. I
- 15.00 Poznaj swój kraj
- 15.30 NURT - Edukacja filmowa
- 16.15 Dt - Wiadomości
- 16.20 Losowanie Express i Super Lotka
- 16.25 Dla młodych widzów: „Jim Henson przedstawia świat teatru lalkowego”
- 17.30 „Spojrzenia” - mag. krajów socj.
- 18.00 „TV informator wydawniczy”
- 18.20 „Dawniej niż wczoraj”
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Kolorowy świat Pacyka”
- 19.10 Program publicystyczny
- 20.05 „Słodką jak ty” - film fab. prod. ang.
- 21.15 Studio Sport - I runda europejskich pucharów w piłce nożnej - mecz: FC Barcelona - Legia Warszawa (w przerwie ok.)
- 22.00 Kroniki PAT - Tak było...
- 23.00 Dt - Echa dnia

PROGRAM II

- 17.00 Studio Sport - Klubowy Puchar Europy w piłce nożnej - mecz: Ruch Chorzów - Sredec Sofia (w przerwie ok.)
- 17.45 Program lokalny
- 19.00 Festiwal Polskich Filmów Fab.
- 19.30 „Libia” - program dok.
- 20.00 „Mistrzowie wiolinistyki” - Konstanty Andrzej Kulka
- 21.00 „Ze wszystkich stron” - mag.
- 21.45 „W labiryncie” (37) - serial TP
- 22.15 „Telewizja noc”
- 23.00 Komentarz dnia

14. IX - CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.35, 10.15 „Domator”
- 8.50 „Domowe przedszkole”
- 9.25 „Policjanci z Miami” - „Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe” - serial kryminalny prod. USA
- 11.10 Z naszych dzieł, kl. VI
- 12.00 Spotkania z literaturą, kl. IV - Jan Brzechwa
- 12.50 Sylwetki historyczne - Jan Śniadecki
- 13.30 TTR - Mech, rol., sem. III
- 14.00 TTR - Prod. rośl., sem. III - Wy-maganie uprawowe ziemniaków
- 15.00 Rytmy ciała
- 16.00 Dt - Wiadomości
- 16.05 „Polskie źródło” - Duszyni Zdrój
- 16.25 Dla młodych widzów: „Kwant” i oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
- 17.30 „Poligon” - mag. wojskowy
- 17.55 „Sonda”
- 18.25 Program publicystyczny
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa”
- 19.10 „Teraz” - Tyg. gospodarczy
- 20.05 „Policjanci z Miami” - „Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe” - serial kryminalny prod. USA
- 20.55 Kroniki PAT - Tak było...
- 21.10 „Pegaz”
- 22.00 Studio Sport
- 22.10 Program publicystyczny
- 22.45 Dt - Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 „Skarby kultury polskiej” - „Skarby Ciemności Madonny”, cz. 2
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 „Dzieci dzieciom”
- 19.00 Magazyn „102”
- 19.30 „Świat roślin” (11) - „Rośliny drapieżne” - s. przyrodn. prod. CSRS
- 20.00 Studio Sport - Wielki tenis
- 21.00 „Ekspres reporterów”
- 21.45 Kino Studyjne „Dwójki” - „Historia Asi Klaczynnej, która kochała, lecz, za małą nie wyszła” - film fab. prod. ZSRR - reż. Andriej Michajłow-Konczalowski
- 23.20 Komentarz dnia

15. IX - PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.05 Muzyka, kl. II
- 8.35, 10.40 „Domator”
- 8.50 „Domowe przedszkole”
- 9.25 „Milczenie doktora Evansa” - film fab. prod. ZSRR
- 11.10 Drogi do niepodległości
- 12.00 Spotkania z literaturą, kl. V - Bajka
- 12.50 Przybysze z Matplanety
- 13.30 14.00 TTR
- 15.10 „W szkole i w domu”
- 15.30 NURT - Młode pokolenie
- 16.20 Dt - Wiadomości
- 16.25 Dla młodych widzów
- 16.50 Dla dzieci: „Okienko Pankracego”
- 17.30 Program dokumentalny
- 18.00 „Szkoła mistrzów” - Jan Łomnicki
- 18.20 „Wrześnie dni Kepy Oksywskiej” - film dok.
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Kret”
- 19.10 „Monitor rządowy”
- 20.05 „Serenite” - film TP, reż. Alina Skiba
- 21.05 „Chce być prezydentem wszystkich Polaków” - film dok.
- 22.20 Kroniki PAT - Tak było...
- 22.35 „Czas” - mag. publicystyczny
- 23.05 Dt - Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego”
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 „Z czego śmieją się sąsiedzi” - „Miłość od pierwszego spojrzenia” - „Ostatni łup” - nowe filmowe prod. CSRS
- 19.00 Festiwal Polskich Filmów Fab.
- 19.30 „Dookoła świata” - „W Egipcie Allacha”
- 20.00 Inauguracja Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień '89”
- 21.00 „Piątek” - krakowski przekładaniec kulturalny
- 21.45 Magazyn „Piątek” c.d.

- 22.20 Filmy Paula Coxa: „Kostas” - film prod. australijskiej
- 23.50 Komentarz dnia

16. IX - SOBOTA

PROGRAM I

- 7.00 TTR - Matematyka, sem. III
- 7.30 TTR - Historia, sem. III
- 8.00 „Tydzień na działce”
- 8.20 „Na zdrowie” - pr. rekreacyjny
- 9.00 „Drops” - Mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Arabella”
- 10.40 „Stare, nowe, najnowsze”
- 11.20 „Bellona” - magazyn wojskowy
- 11.50 „Kari Friedrich Schinkel” - film dok. prod. NRD - architektowi w 200 rocznicę urodzin
- 12.30 Telewizja prowincja
- 13.00 Telewizyjny Teatr Prozy - Jarosław Iwaszkiewicz - „Sława i chwala”, cz. 2 - „Polonia Restituta”, reż. Lidia Zamkow

PROGRAM II

- 14.30 „Do trzech razy sztuka”
- 15.00 Komedia, komedia, komedia... - „Walet pikowy”, reż. T. Chmielewski
- 16.35 Losowanie Dużego Lotka
- 16.45 „Prezydenci” Teodor Roosevelt
- 17.30 „Ty musisz żyć, aby dać świadectwo prawdziwe” - film dok.
- 18.35 „Butik” - pr. Grażyna Szczesiak
- 19.00 Dobranoc „Przygody misia Colargola”
- 19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
- 20.05 „Serpico” - film fab. prod. USA
- 21.10 Telewizyjny przegląd sportowy
- 22.30 Rec. zespołu „Wajły Jagiellońskie”
- 23.35 Kino Sensacji „Inspektor Taggart” (3) - „Wampir z Glasgow” - serial prod. angielskiej

PROGRAM II

- 14.00 W świecie ciszy
- 14.25 Telewizyjny koncert zyczeń
- 15.00 „3 - 10 - 15” - pr. dla dzieci i młod.
- 16.25 Male Kino: „Nuty, moje nuty”
- 17.00 Echa „Konwoju”
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 „Wielka gra” - teleturniej
- 19.30 Alfa i omega
- 20.00 Romantyczny interpretacje Rian de Waala - rec.
- 20.55 „Ballada o drodze”
- 22.10 „Chateaufallion” (19) - s. prod. franc.
- 23.00 „Bóg i Ojczyzna” - rozmowa z genialnym dziekanem WP Julianem Humeńskim
- 23.25 Komentarz dnia

17. IX - NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.20 Notowania
- 7.45 „Po gospodarsku” - mag.
- 8.15 „Tydzień” - mag. rolniczy
- 9.00 „Teleranek” - oraz „Przygoda na bezludnej wyspie” (2) - serial prod. australijskiej
- 10.35 „Ludy Ziemi” (9) - „Masajowie” - serial dok. prod. hiszp.
- 11.35 „Kraj za miastem”
- 12.05 Telewizyjny koncert zyczeń
- 12.50 Teatr dla Dzieci: A. A. Milde - „Dawno, dawno temu” (3) - „Trofea wojenne”
- 13.50 „Tupek...” - pr. rozrywkowy
- 14.35 „Trzy rundy”
- 15.40 „Panna dziedziczka” (18) - s. prod. brazylijskiej
- 17.30 Fotomagazyn „Powiększenie”
- 17.50 „Gdzie są ślady z tamtych lat”
- 18.30 Antena
- 19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy Kaczora Donalda”
- 20.05 „Klan” (3) - serial prod. francuskiej
- 21.05 „7 dni - Świat”
- 21.35 Sportowa niedziela
- 22.35 Premiera po latach - „Wincenty Witos” - film dok.

PROGRAM II

- 7.55 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
- 8.30 Film dla niesłyszących: „Klan” (3)
- 9.30 Nabożeństwo ekumeniczne z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego św. Trójcy
- 10.50 „Magazyn lotniczy”
- 11.20 Lokalny koncert zyczeń
- 11.45 „Jutro poniedziałek”
- 12.25 Polska Kronika Filmowa
- 12.30 100 pytań do...
- 13.10 Aktualności kulturalne
- 13.25 „Polacy” - film dok.
- 14.10 Kino familijne: „Niebezpieczna zotaka” - s. przygodowy prod. kanad.
- 15.05 „Podróże w czasie i przestrzeni” - „Badacze nieznanego świata” (2) - serial dok. prod. angielskiej
- 15.55 „Być tutaj” - gawęda prof. W. Zina
- 16.10 Festiwal Polskich Filmów Fabularnych
- 16.45 Studio Sport
- 17.30 Przegląd TV - satelitarnych
- 18.45 Rzecznik praw obywatelskich - prof. Ewa Łętowska, pr. I Dzień
- 19.30 Galeria 37 milionów” - malarstwo Hildegard Fuhrer (RFN)
- 20.00 Studio Sport
- 21.00 „Kolejka katorżnika” - reportaż
- 21.45 „Wojna i pamięć” (3) - s. prod. USA
- 22.55 Komentarz dnia

18. IX - PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 13.30 TTR - Chem., sem. I - Molekularna teoria budowy materii
- 14.00 TTR - Biol., sem. I
- 15.00 Muzyka, kl. II
- 15.30 NURT - Człowiek inteligentny
- 16.20 Dt - Wiadomości

PROGRAM II

- Adres redakcji: Zielona Góra pl. Bohaterów Stalina 13 i 14, pietro dla korespondencji 65-958 Zielona Góra 6 skrytka pocztowa 40 Telefon: redakcji naczelny 708 45, ca red. naczelna 19 13, w. centra la 46-61 do 67 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 0432253 REDAGUJE KOEGIUUM Halina Anna Skarabek, Janusz Koniusz (red. naczelny) Zenon Łukasiewicz (z-ca red. naczelnego) Krzysztof Holiński Wiesław No-

- 16.25 „Luz” - mag. nastolatków
- 17.30 Echa stadionów
- 18.10 „Z wiatrem i pod wiatr” - mag.
- 18.30 „Laboratorium”
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Ja ci jeszcze pokażę”
- 19.10 „Gorące linie”
- 20.05 Teatr Telewizyjny - Henryk Ibsen - „Upiory”, reż. Rudolf Ziolo
- 21.50 Kroniki PAT - Tak było...
- 22.05 „Obok nas” - reportaż
- 22.30 Wódka pozwoli żyć
- 22.50 Dt - Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydz.
- 17.45 „Ojczyzna - polszczyzna”
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Przegląd PKF
- 19.00 Zaproszenie do Teatru „Syrena” - „Sprawa Romana K”
- 19.30 „Meksyk” - program dokumentalny
- 20.00 Auto Moto Fan Klub
- 20.30 „Osądźmy sami”
- 21.15 „Rozmowy o cierpieniu”

- 21.45 Biografie: „Lillian Hellman” - film prod. RFN-ang.
- 22.45 Komentarz dnia

19. IX - WTOREK

PROGRAM I

- 8.05 Z naszych dzieł, kl. VI
- 8.35, 10.15 „Domator”
- 8.50 „Domowe przedszkole”
- 9.25 „Oziębłość” - film fab. prod. ang.
- 11.10 W Europie nowożytny
- 12.00 Spotkania z literaturą, kl. VII
- 13.30 TTR - Fiz., sem. III - Siły w polu magnetycznym
- 14.00 TTR - Biol., sem. III - Skład chemiczny organizmów
- 16.00 Dt - Wiadomości
- 16.05 „Gazeta rolnicza”
- 16.25 Dla dzieci: „Tik - Tak”
- 16.50 „Cudowna podróż” - s. anim. prod. austriackiej
- 17.30 „Następny proszę” (9) - s. obycz. prod. angielskiej
- 18.30 Klinika zdrowego człowieka
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Wesołe przygody Pika, Kwika i wieloryba Grubaska”
- 19.10 Od „A” do „Z”
- 20.05 „Oziębłość”, cz. 1 - dramat obycz. prod. ang.
- 20.55 Kroniki PAT - Tak było...
- 21.10 Wspomnienia lotników z wrześniowych walk
- 21.35 „Fulio” - widowisko muzyczne
- 22.25 Studio „Solidarność”
- 23.10 Dt - Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 Klub ludzi z przeszłością
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Komedia po polsku - „Szlaki na zachód osadnicy” - pr. filmowy
- 19.30 „Błisko nieba” - mag. alpinistyczny
- 20.00 „Non stop kolor”
- 20.55 „W kregu sztuki” - Pekinśkie zakazane miasto”, cz. 2 - film dok. prod. jap.
- 21.45 „Krzyk” - dramat społeczno-obycz. prod. pol., reż. Barbara Sass-Zdort
- 23.15 Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni
- 23.30 Komentarz dnia

20. IX - ŚRODA

PROGRAM I

- 8.05 „Przez lądy i morza”
- 8.35 „Domator”
- 8.50 „Domowe przedszkole”
- 9.25 „Wojna i film: „Virtuti” - film prod. polskiej
- 11.15 Drogi do niepodległości
- 12.00 Spotkania z literaturą, kl. II lic. - William Szekspir - „Hamlet”
- 12.50 Wiedza o społec., kl. VIII
- 13.30 TTR - Fiz., sem. I - Przedmiot i metody fizyki
- 14.00 TTR - Mech, rol., sem. I - Wiadomości wstępne
- 15.00 Muzyka, kl. I
- 15.30 NURT - Edukacja filmowa
- 16.15 Dt - Wiadomości
- 16.20 Losowanie Express i Super Lotka
- 16.25 Dla młodych widzów: „Jim Henson przedstawia świat teatru lalkowego”
- 17.30 „Spojrzenia”
- 18.00 Telewizyjny informator wydawniczy
- 18.20 „Dawniej niż wczoraj”
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Kolorowy świat Pacyka”
- 19.10 Program publicystyczny
- 20.05 „Wojna i film: „Virtuti” - film prod. pol., reż. Jacek Brytnowicz
- 21.55 Kroniki PAT - Tak było...
- 22.10 Raport
- 22.40 Dt - Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 „Krótkowzroczność” - rep.
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 „Polles Bergere” - pr. rozrywkowy
- 19.30 Wiesław Szamborski - malarz
- 19.45 Opera miesiaca: „Don Kichot” - balet MET
- 21.55 „W labiryncie” - serial TP
- 22.25 „Telewizja noc”
- 23.10 Komentarz dnia

21. IX - CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.35, 10.15 „Domator”
- 8.50 „Domowe przedszkole”
- 9.25 „Policjanci z Miami” - serial sensacyjny prod. USA
- 11.10 Hist., kl. I lic. - W świecie faraonów

PROGRAM II

- 14.30 „Bariery”
- 15.00 „Zwierzęta świata” - film dok.
- 15.25 „Spektrum”

- 12.00 Spotkania z literaturą, kl. VI
- 12.50 Wiedza o społeczeństwie, kl. VII
- 13.30 TTR - Prod. roślinna, sem. III - Przygotowanie roli i sadzenie ziem.
- 14.00 TTR - Prod. zw., sem. III - Typy użytkowe i rasy świń
- 15.00 Fizyka dla humanistów, kl. I-IV lic.
- 16.00 Dt - Wiadomości
- 16.05 „Polskie Źródło” - „Szczawno-Zdrój
- 16.25 Dla młodych widzów: „Kwant” i oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
- 17.30 Grupa „B” - woj. pr. historyczny
- 17.55 „Sonda”
- 18.25 Program dok. - „1939 - wrzesień”
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Przygody rozbójnika Rumcajsa”
- 19.10 „Teraz” - Tygodnik gospodarczy
- 20.05 „Policjanci z Miami” - „Hotel Labirynt” - s. kryminalny prod. USA
- 20.55 Kroniki PAT - Tak było...
- 21.10 „Pegaz”
- 22.00 „Powstańcze losy” - pr. dok.
- 22.45 Dt - Echa dnia

- 17.30 Skarby kultury polskiej - „Skarby Jagiellonki” cz. 1
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Dzieci dzieciom - pr. rozrywkowy
- 19.00 Magazyn „102”
- 19.30 Świat roślin (12) - „Drzewa” - s. przyrodniczy prod. CSRS
- 20.00 Studio Sport
- 21.00 Ekspres reporterów
- 21.45 Studio Teatralne „Dwójki” - Bolesław Lesmian - „Idę ląko ku tobie, czyli illeki romans Bolesława Lesmiana”, reż. Andrzej Maj, Stanisław Zajączkowski
- 22.35 „Warszawska Jesień '89” - rep.
- 22.50 Komentarz dnia

22. IX - PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.35, 10.45 „Domator”
- 8.50 „Domowe przedszkole”
- 9.25 „Zagrać na piszczalcę” - film obycz. prod. CSRS
- 12.50 Spotkania z literaturą, kl. III lic. - Kruczkowski - „Niemy”
- 12.50 Spotkania z literaturą, kl. III lic. - H. Ibsen - „Dzika kaczka”
- 13.30 TTR - Mat., sem. I - Zbiory liczbowe
- 14.00 TTR - Spotkania z literaturą, sem. I
- 15.10 W szkole i w domu
- 15.30 NURT - Młode pokolenie
- 16.20 Dt - Wiadomości
- 16.25 Dla młodych widzów
- 16.50 Dla dzieci: „Okienko Pankracego”
- 17.30 „Szkoła mistrzów” - S. Różewicz
- 17.50 „Polska Walcząca 1939-1945”, cz. III - Rząd generała Sikorskiego we Francji
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Krecik”
- 19.10 „Monitor rządowy”
- 20.05 Akademia filmowa: „W kregu zła” film fab. prod. francuskiej
- 22.20 Kroniki PAT - Tak było...
- 22.35 „Czas” - mag. publicystyczny
- 23.05 Dt - Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Z czego śmieją się sąsiedzi - „Kolt czy nie kolt” - film prod. weg.
- 19.00 Spotkanie z Liv Ullmann
- 19.30 „Dookoła świata” - „W Bremie”
- 20.00 VII Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny
- 20.50 Brawo dla Włodzimierza Nahornego
- 22.20 Filmy Paula Coxa: „Samotne serca” - film prod. australijskiej
- 23.35 Komentarz dnia

23. IX - SOBOTA

PROGRAM I

- 6.55 TTR - Mat., sem. III
- 7.25 TTR - sem. III - Spotkania z literaturą. Liryczna epoka pozytywizmu
- 8.00 „Tydzień na działce”
- 8.20 „Na zdrowie” - pr. rekreacyjny
- 9.00 „Drops” - mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Arabella” (ost.)
- 10.40 „Stare, nowe, najnowsze”
- 11.25 „Nazywano ich Jedrusiami” - woj. program dokumentalny
- 11.55 Telewizyjny koncert zyczeń
- 12.25 „Fleż” - mag. muz. rozrywkowej
- 12.50 Telewizyjny Teatr Prozy: Jarosław Iwaszkiewicz - „Sława i chwala” - cz. 3 „Piękne lato”, reż. L. Zamkow
- 14.55 Komedia, komedia, komedia... „Włosa, panie sierżancie”, reż. Tadeusz Chmielewski
- 16.35 Losowanie Dużego Lotka
- 16.45 „Prezydenci”
- 17.30 „Zabawy w dorosłych ciag dalszy” - film dok.
- 18.30 „Butik” - pr. Grażyna Szczesiak
- 19.00 Dobranoc „Przygody misia Colargola”
- 19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
- 20.05 „Meandry miłości” - film fab. prod. ang.-RFN
- 21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
- 22.15 Tydzień w polityce
- 22.05 „Bałtycki Festiwal Piosenki - Karshamm '89”
- 23.05 „Telegazeta”
- 23.10 Kino Sensacji: „Omen” - horror prod. USA, reż. Richard Donner, wyk.: Gregory Peck, Lee Remick, David Warner i inni

PROGRAM II

- 14.30 „Bariery”
- 15.00 „Zwierzęta świata” - film dok.
- 15.25 „Spektrum”

- 15.40 „Ordy” - serial anim. prod. jap.
- 16.4 „Meandry architektury”
- 16.25 Film dokumentalny
- 17.00 Kraków na antenie „Dwójki”
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 „Szansa” - teleturniej
- 19.30 Kraków na antenie „Dwójki”
- 21.45 „Chateaufallion” (2) - s. prod. franc.
- 22.40 Komentarz dnia

24. IX - NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.20 Notowania
- 7.45 „Po gospodarsku” - mag.
- 8.15 „Tydzień” - mag. rolniczy
- 9.00 Dla młodych widzów: „Teleranek” i oraz film prod. pol.-RFN „Janka” (1)
- 10.35 „Ludy Ziemi” (10-ost.) - serial dok. prod. hiszpańskiej
- 11.35 „Kraj za miastem”
- 12.05 Telewizyjny koncert zyczeń
- 12.50 Magazyn „Morze”
- 13.10 „Agromarket” - magazyn
- 13.40 Teatr dla Dzieci: Kim Mieszkow, Juliusz Woiski „Słonecznik”, reż. Kiria kos Agriopolos
- 14.30 „Pieprz i wanilia” - „Nieznany kraj”
- 15.15 „Antena”
- 15.35 „Panna dziedziczka” (19) - serial prod. brazylijskiej
- 17.25 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Bruno Winawer „Po prostu truten”, reż. Marek Nowicki
- 19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy Kaczora Donalda”
- 20.05 „Klan” (4) - serial prod. franc.
- 21.05 „7 dni - Świat”
- 21.35 Sportowa niedziela
- 21.55 Premiera po latach

PROGRAM II

- 8.45 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
- 9.20 Film dla niesłyszących: „Klan” (4) - s. prod. franc.
- 10.20 „Krótkofalowy”
- 10.50 Studio Sport - Maraton Pokoju
- 11.20 „Jutro poniedziałek”
- 12.00 Studio Sport
- 12.20 Polska Kronika Filmowa
- 12.30 Kino familijne: „Niebezpieczna zotaka” - serial prod. kanad.
- 13.25 100 pytań do...
- 14.05 Studio Sport
- 14.20 Polacy - film dok.
- 15.10 „Podróże w czasie i przestrzeni” - „Badacze nieznanego świata” (3) - serial dok. prod. ang.
- 16.00 „Być tutaj” - gawęda prof. W. Zina
- 16.25 Formula I
- 16.40 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
- 17.10 Formula I
- 17.30 Przegląd TV - satelitarnych
- 19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
- 19.30 Galeria „Dwójki” - Muzeum w Bochum
- 20.00 Formula I
- 21.15 Studio Sport - piłka w grze
- 21.00 Sława Urszula Trawińska-Moroz
- 21.45 „Wojna i pamięć” (4) - s. prod. USA
- 23.00 „Warszawska Jesień '89” - rep.
- 23.15 Komentarz dnia

25. IX - PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 13.30, 14.00 TTR -
- 16.20 Dt - Wiadomości
- 16.25 „Luz” - program młodzieży
- 17.30 „Echa stadionów”
- 18.10 „Z wiatrem i pod wiatr” mag. zegl.
- 18.30 „Laboratorium”
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc „Ja ci jeszcze pokażę”
- 19.10 „Gorące linie”
- 20.05 Teatr TV: Maria Nurowska „Malżeństwo Marii Kowalskiej”, reż. Piotr Cieślak
- 21.40 Kroniki PAT - Tak było...
- 21.55 Studio Sport
- 22.10 Program publicystyczny
- 22.40 Dt - Echa dnia

KRZYŻÓWKA

Wino- braniowa

Wśród Czytelników, którzy w terminie do 30 września br. (decyduje data stempla pocztowego) na adres naszej redakcji nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy pięć bonów oszczędnościowych PKO po 2.000 zł każdy, ufundowane przez Komitet Organizacyjny Dni Zielonej Góry — „Winobranie”. Na kopertę lub kartę pocztową prosimy nakleić wydrukowany poniżej kupon. Życzymy przyjemnej zabawy i szczęścia w losowaniu.

Litery z krzyżówek ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 48 utworzą hasło.

Poziomo: 1. Bóg wina, syn Zeusa, 5. hotel studencki, 11. autor projektu figury Zygmunta III na Kolumnie w Warszawie, 12. współbiedniactwo, 13. wyraz bliskoznacznicy, 16. młt. gr. tkaczka lidyjska, córka Idmona, 19. batóg, 20. przyrząd, 22. małpie dzieci, 23. plac sportowy, 24. rozjemca, 26. włoski konstruktor sterowców, 27. miasto w NRD, 28. wolna posada, 29. poeta duński, tu macz „Chłopów” Reymonta, 31. Szaniawski Klemens, 35. drzewo z rodziny bukowatych, 38. pływające auto, 41. wszczęcie, 42. przed. 43. wysuszony produkt otrzymany z krasnorostów, 44. miasto w dolinie rzeki Giano.

Pionowo: 1. ustąpienie z urzędu, 2. sztuczne włókno, 3. miasto identyfikowane z Troją, 4. apetyt, 5. chęć, 6. napój



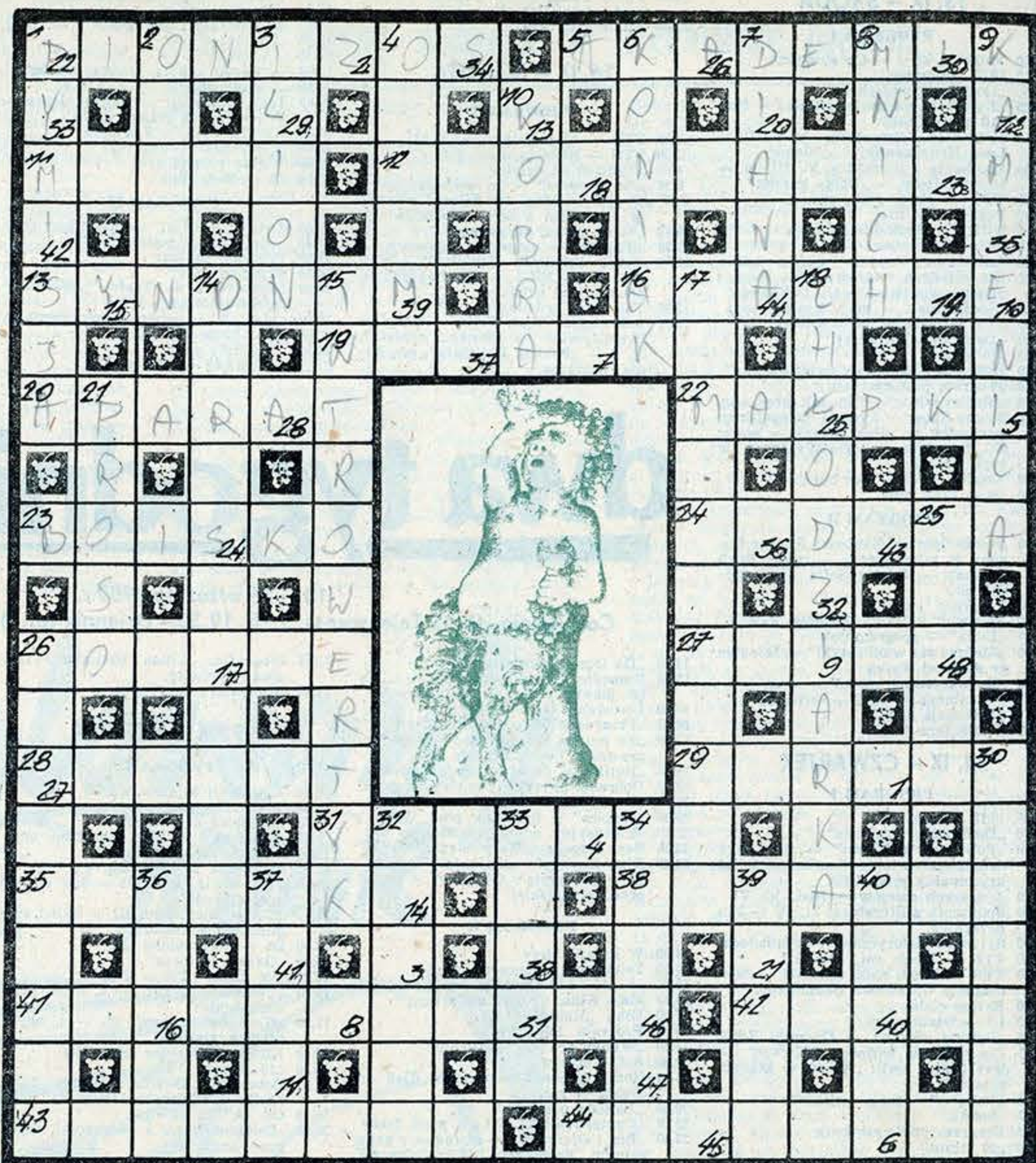
alkoholowy, 7. bogini lasów i zwierząt, 8. zakonnik, 9. dom, 10. jadowity wąż, 14. aparat do pielęgnacji drzew, 15. prze ciwienie, ekstrawagancja, 17. indyjska wyspa koralowa, 18. urządzenia do obniżania temperatury, 21. uciełka tam przepióreczka, 25. ojczyzna Odyseusza, 26. środek znieczulający, 30. miasto w woj. koszalińskim, 32. zakład radiowy, 33. miotek bojowy, 34. bał, 36. barwnik z gruczołu matw, 37. siano w młodości, 39. kaprys, grymas, 40. narzędzie rol nicze.

opr. STANGAR

Rozwiązanie krzyżówki z nr 17

Hasło: „Polisa. WESTY to bezpieczny dzień i spokojny sen”. Nagrody, które ufundowało Przedstawicielstwo w Zielonej Górze Spółdzielczego Zakładu Ubezpieczeń „WESTA” — premie bony oszczędnościowe PKO po 10.000 zł — wylosowali: Ewa Duniec z Sulechowa, Danuta Mirzajewska z Zielonej Góry, i Zbigniew Kujawski ze Świebodzina. Serdecznie gratulujemy. Bony prześlemy pocztą.

PS. W imieniu korekty przepraszamy SZU „Westa” za błędnie podaną jej nazwę w nr 17.



McRGINATKI

NAWIEDZONY? Pod tytułem „Nasze niepokoję, nadzieje i duchy” Zbigniew W. Fronczek publikuje w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 35) rozmowę z historykiem literatury i poetą Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, który przy okazji wyznał: „Boję się kłopotów ducha wych. A mam takie przekonanie, że nieskromne, że jestem kimś w rodzaju anteny. Posiadam zdolność odbioru nastrojów. Jeśli jestem w marnej kondycji duchowej i uważam, że jest marne, to niewątpliwie tak właśnie czuje się znaczna część inteligencji, ja, jako antena, odbieram to marne poczucie i czuję się marne. To mi się wielokrotnie sprawdzało”. Może dla poprawy samopoczucia lepiej identyfikować się z anteną satelitarną?

POLOWANIA NA CZAROWNICE. W „Gazecie Wyborczej” (nr 74) Stefan Bratkowski napisał: „Rząd premiera Rakowskiego zostawia rządowi Tadeusza Mazowieckiego katastrofę, jakiej nawet całe 45 lat PRL nie widziało: kompletnie zdeorganizowany rynek, zniszczony pieniądz, wykończony gigantycznym deficytem budżet, zdekoncentrowany system podatkowy, perspektywę głodu przed bliskimi 20 proc. społeczeństwa i zimną wściekłość całego narodu. Dlatego nie tańczymy na ulicach”. A Krzysztof Kozłowski w „Tygodniku Powszechnym” (nr 35) dziarsko redaktorowi Bratkowskiemu wtóruje: „Jeden tylko Mieczysław Rakowski głośno protestuje (przeciw no-

wej koalicji — nasz przyp.) i wykrzykuje, że to nie tak miało być, że PZPR przez cztery lata miała jeszcze pozostać nie zagrożoną w swej kierowniczej roli w państwie. Ukochane przez Rakowskiego realia bywają jednak nieubłagane i nie dano PZPR „owych czterech lat, a nawet czterech miesięcy”. I jak tu się ma do tych wypowiedzi owo słynne już stwierdzenie premiera Mazowieckiego: „Walczyć o coś, a nie przeciw komuś”?

ARYSTOKRATYZM DUCHA. Zbigniew Biełkowski w felietonie „Klucz do Miłosza”, omawiając „Mowę wianą” świeżo wydaną („Tygodnik Kulturalny” nr 36) pisze m.in.: „Własna poezja Miłosza jest zatruta kultura. (...) W przejęciu się przez Miłosza Blakem i Svedenborgiem widzę bardzo modną współcześnie próbę wyrwania się z więzów racjonalizmu. Nie przekonują mnie ani te próby, ani komentarz do nich w „Ziemni Ulro”. Widzę w tym dopisywanie do życiorysu racjonalisty nie przystającego doń rodowodu. Po co temu szlachetności jeszcze arystokratyzm ducha? Rzeczywiście, nie wystarczy herbarz?”

DOSADNIE. Łódzka satyryczna „Karuzela” lubi poziom populistycznych dowcipów. W nr 18 w felietonie pt. „Co widać?” autorka (bejot) pisze o wyborach polskiej miss piękności, tytułując subtelnie tekst „Waż jagielloński”. O częstej artystycznej imprezie (bejot) powiada: „Powiedzmy sobie od razu szczerze — też byłaby. Skonstruowana przez rzyście, według jasnej koncepcji i wspólnie grającej z częścią oficjalną formuły. (...) No i wykonanie! Śmiało można powiedzieć, że przyszłością naszej estrady są żuki.”

Tylko ten Rudi w krótkich majtkach. Rudi — walczący jagielloński — w takiej porządnej akademii, niżej mi się nie mieści. Rudi, jak to Rudi — istny walczący jagielloński wśród najpiękniejszych panienek. To zupełnie na poziomie ulubionych przez „Karuzelę” Masztalskich. Oczywiście, poziomie humoru lansowanego przez pismo.

ZAWODNA PAMIĘĆ. Urszula Koziół, poetka i felietonistka „Odry”, w 6 numerze wrocławskiego miesięcznika pisze m.in.: „Po raz pierwszy ujrzałam Kisiele w 1950 lub 1951 roku na zjeździe polonistów w Poznaniu. Siedział osamotniony w ostatnich ławkach, oparty epitafium „uroga”, mało kto się do niego tam zbliżał, żeby broń Boże nie nabawić się podobnej etykiety”. Prostujemy: zjazd odbył się w 1952 roku, a obok Kisiele — jemu zresztą towarzysząc stale podczas pobytu w Poznaniu — siedzieli wówczas młodzi polonisci: późniejszy publicysta warszawskiej TV i jeden z obecnych redaktorów „Nadodrza”. Bez obaw o epitety „wrogów”.

Z SASIEDNIEJ PÓŁNOCY. Pod takim tytułem Jacek Kurczewski publikuje refleksje z podróży w najświeższym, 2 zeszycie „Res Publiki”. Zauważa przy tym: „Samoloty przenoszą szybko z jednego punktu cywilizacji do innego i dopiero jazda samochodem przywraca zachowaną równowagę spojrzenia, gdyż pozwala zobaczyć wszystkie fazy i odcienie. Takie na przykład Stłubice, które chyba i przed wojną były dla Frankfurtu nad Odrą tym, czym Praga dla Warszawy. Mistrz gospodarności, nie po wiem, chapeau bas przed demokracją bezpośrednią w postaci referendum obywateli nad tym, co zrobić z wygranymi pieniędzmi. Pieniądże, zdaje się, wpływają do kieszeni obywateli również innymi drogami. Wieczór w miejscowej „Polonii” z widokiem na Frankfurt nasuwa skojarzenia z Dzikim Zachodem”. Skojarzenia z najdalszym Zachodem nachodzą nas, proszę, autora, czasami wieczorową porą w stolicy. I co z tego?

WALKMANY Z ZAGANIA. W piśmie „TOP” (nr 27) pewien mieszkaniec Zagania wydrukował ogłoszenie: „Potrzebuję znacznej kwoty. Wpłacać przekazem nawet skromną ilość. Najhojniejszym podaruję dwa walkmany”. Nie wiemy, co to są walkmany. I nie chcemy wiedzieć. Natomiast podobnie jak mieszkańiec Zagania potrzebujemy pieniędzy. Na zmniejszenie deficytu „Nadodrza”. Przyjmujemy wpłaty tylko powyżej miliona złotych. W zamian oferujemy auto grafy Anskiej, Koniusza, Rowińskiego i Nodzyńskiego (na książkach) i Herma nowicza (na satyrycznych rysunkach, bądź porno).

POSTAWY

Pies oswoił człowieka. Czynem tym stworzył jedną z miar człowieczeństwa, system pozwalający odróżnić par szycwa od świętego. Pies pokumał się z człowiekiem jednak na swoje nie-szczęście, zwłaszcza na naszym obszarze utożsamiającym się dumnie z kręgiem kultury śródziemnomorskiej. Na równi z nami ponosi wszystkie konsekwencje rozwoju cywilizacyjnego. Wbrew swojej naturze mieszka z nami w wieżowcach i nie ma prawa korzystania z windy. Na campingach jest przywiązany na cały dzień do sosny. Kupkę robi w ściśle wyznaczonych miejscach. Ich lokalizacja jest tajemnicą. Jest kopany i łżony. Na wsi jest coraz więcej ocemniących psów. Stracili wzrok, bo ich właściciele zmuszeni zostali do powszechnego korzystania z aparatury spawalniczej. Nikt jeszcze nie wymyślił okularów spawalniczych dla wiejskiego kundla, choć są one równie potrzebne jak ocynkowane wiadra, łańcuchy i widły. Psy jak ludzie tracą życie na traktach, ale wypadków tych nie rejestruje się w statystykach mówiących o liczbie ofiar motoryzacji. Stają przed realną groźbą stania się jednym z dań restauracyjnych, co może być skutkiem wzmoczonego ruchu turystycznego do Hongkongu, Kualalumpur i Singapuru.

Jeśli degradacja stosunków między ludźmi i psami pójdzie dalej, a zapewne tak i będzie, to w przewidywanym rozwoju partii, stronnictw, organizacji i stowarzyszeń o różnych barwach politycznych i ideologicznych, również pieski skorzystają z demokratycznych uprawnień. Znający seter irlandzki myśli o założeniu psiego kółka o charakterze ruchu społecznego lub związku zawodowego, ale broń Boże! partii politycznej. Przy pomocy doradców pisze właśnie podanie do Prezydenta miasta Zielonej Góry o przydział odpowiedniego lokalu w centrum z telefonem, dalekopisem i witrzyną.

Jeśli petycji o lokal nie stanie się zadość, psy zaczną manifestować, organizować strajki, rozlewać ulotki. Jeśli to nie pomoże, eskalacja pójdzie w kierunku masowego obśkiwania okolicznych Prezydentów, zaś jego negatywne skutki będą odczuwane przez wszystkich krajów łączące się zaskoczonych sytuacją. Uszkodzenie podstawowej garderoby, przy dzisiejszych kłopotach zaopatrzeniowych, jest groźbą skuteczną. Tak czy inaczej, inicjatywę znajomego setera irlandzkiego trzeba się bacznie przyglądać. Jej skutki są trudne do przewidzenia również w skali międzynarodowej. Niekiedy de-

Psie życie

radcy setera irlandzkiego już udali się zagranicę, celem zyskania poparcia materialnego i materialnego. Spotkali się tam z pełnym zrozumieniem i sympatią.

Bronię psich interesów, zwłaszcza tak niezwykłej wartości, jaką jest godność z pełnym zaangażowaniem. Ru chowi zainicjowanemu przez setera da je szansę ogromną. Owiany wichrę storił trwać przy tej postawie będą, nie wykluczając jednak drobnych korektur, które powstać mogą przy zaistnieniu nowych okoliczności. Do myślenia tymi kategoriami skłania przypadek pi nczarka z siódmego piętra imieniem Lalus. Psinka ciesząc się pełnią praw, w żadnym przypadku nie mogła narze kać na warunki bytowe. Miała swoje wyko w przedpokoju, miseczkę, gumowy gnat z NRD. Była oczekiwana w głowie władzy domowej i dziatwy. Trzymana w tak ciepłarnianych warunkach, może z powodu braku okazji, zupełnie nie wiedziała, że potrafi szcze kać. Te głosy, które z siebie wydawała, w żadnej okoliczności nie by szczekaniem, skowytem raczej, lub popiskiwaniem. Tak było do czasu aż pan domu, młodszy pracownik nauki, zawieruszył się w poszukiwaniu zapalek. Lalus poszukując pana, na swojej drodze kundla zapchłonego, zaniebanego, bezdomnego, ale dysponującego, pełnią psich możliwości, zaskoczony został głębokim: hau! hau! Spróbował Lalus i jemu również się udało. Cichy i pokorny piesek zamienił się w demona. Nie czynił nic, tylko szczekał. Czynił to niezależnie od sytuacji. Pani domu zrzuciła psinę z kolan. Działwa traktowała Lalusia z wyrażną obawą. A kiedy pan domu został powitany szczeni kaniem, zmęczenie seminaryjne dało o sobie znać w stwierdzeniu: won ty zborsuczony kundlu, i kopniakiem. Cza ra niesprawiedliwości się przełamała. Degradacja psychofizyczna Lalusia się rozpoczęła. Seter irlandzki może ją za trzymać wciągając pincerkę w swoją godną uznania inicjatywę, jako członka — pomocniczego.

Kiedy sobie przypominam hasło wy myślane przez dziewiętnastowiecznego bernardyna, który napisał — pieski wszystkich krajów łączcie się! zastana wia mnie lalusiowe hau! hau! Co on przez to chciał powiedzieć, daleko nie wiem. Jest ono bowiem wypowiedzią wieloznaczną. Cave canem — jest interpretacją zbyt jednoznaczna.

RYSZARD ROWIŃSKI



RYŚ IGOR SMIRNOW